Nr. 47. Warszawa, dnia 8 (20) Listopada 1897 r. Rok XVII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Staraniem **Spółki Nakładowej** *wyszło z druku dzieło:*

D-ra Piotra Chmielowskiego

Zarys Najnowszej Literatury Polskiej

(1864 1897).

Wydanie **czwarte**, *przejrzane i znacznie powiększone, str. XI i 516.*

Cena rs. **trzy**, *z przesyłką rs. 3 k. 40.*

Do nabycia w Administracyi **Prawdy** *i we wszystkich księgarniach.*

POLITYKA.

W HISZPANII.

Zamordowanie Canovasa, dymisya Azcarragi, odsunięcie się zachowawców od dworu, wejście do rządu liberalnego Sagasty, odwołanie Weylera z Kuby — odsłoniły w Hiszpanii wiele stosunków, składających się na dobrze znane pojęcie *Cosas de Espana*. Przedewszystkiem nie było kłamstwem twierdzenie zabójcy sławionego przez trzydzieści blizko lat polityka, że wziął odwet za prześladowanie swoich współwyznawców społeczno-politycznych: śledztwo zarządzone przez Sagastę wykryło w więzieniu Montjuich w Barcelonie, głównem ognisku radykalizmu społecznego Hiszpanii, oburzające nadużycia. Trzymano więźniów bez żadnych poważnych poszlak po kilka i kilkanaście miesięcy, nie pociągano ich nawet do badania, zamykano tylko na upatrzonego dla bezpieczeństwa, któremu niewinnie trzymani zagrażać bynajmniej nie myśleli, a obchodzono się z nimi w sposób brutalny, nieludzki, do utraty wolności dołączając głód, brud, udręczenia fizyczne i moralne ergastulów rzymskich. Gdyby przejrzano wszystkie więzienia hiszpańskie, znalazłoby się więcej podobnych bezprawi, popełnianych w interesie porządku społecznego.

Eks-komunika, rzucona przez biskupa Majorki na poborcę podatków — eks-komunika zganiona przez samego papieża— odsłania niestrawioną jeszcze przez czas średniowieczność w tym najbardziej dla stanu uspołecznienia znamiennym zakresie, w którym umysłowość danego narodu najobszerniej pojęta zaczepia o jego urządzenia społeczne. Taki wybryk ciemnoty indywidualnej i klasowej możliwym był tylko w mroku ogólnym; wytłomaczyć go można tylko przygnębieniem rozumów i zaniedbaniem oświaty nietylko wśród ludu, ale i w tych niby to wyższych od ludu warstwach, które wespół z nim dają wszelkim zdrożnym roszczeniom duchowieństwa dogodne podłoże. Dotychczasowe reformy jeszcze nie wystarczają; pozostało jeszcze dużo gruzu i śmiecia do wywiezienia.

Rusza się też i karlizm. Wychodzi w Hiszpanii do czterdziestu dzienników karlistowskich. W prowincyach baskijskich ludność w głębi serc i sumień swoich za króla uważa, nie Alfonsa XIII, ale „Don Carlosa.“ Ten Don Carlos jest stałem imieniem pretendenta, który w rzeczywistości może mieć wszelkie imię, jakie mu nadadzą, dla ludu będzie zawsze tylko „Don Carlosem.“ Monarchii karlistowskiej jeszcze niema, ale jest już karlistowski dwór, jest arystokracya, są intrygi, festyny, manifesty, mowy od tronu, przysięgi i obietnice Na imieniny swoje pretendent zapowiedział, że następną już może uroczystość będzie mógł na ziemi ojczystej obchodzić. Ma stronników w północnej Katalonii i w części Aragonii, liczy przytem na zamęt w rządzie madryckim. Nie mając jeszcze wojska, potrzebuje generała, a dzienniki poddały mu nazwisko Weylera, jako zadąsanego na rząd i dwór, zatem podatnego do buntu. Podobno *nervus rerum gerendarum* teraz już pretendentowi nie odmawia usług. Może nie przyjść do żadnych poważnych działań, ale przy znanej krewkości hiszpańskiej, przy endemicznej chorobie pronunciamentów przewidywanie jakiegoś wybryku zbrojnego nie jest wyłączonem przez rozsądek z dziedziny prawdopodobieństwa.

Stan na Kubie polepszać się zaczął przez zmianę osób i programów, ale czy ten ruch ku biegunowi dodatniemu długo potrwa? Gen. Woodford oświadczył p. Moretowi, ministrowi kolonij, że rząd Stanów Zjednoczonych zadowolony jest z przysłania gen. Blanco i z jego proklamacyi, obwieszczającej przyszłą autonomię; ale czy zadowoleni są sami powstańcy? Wysadzenie w powietrze całego pociągu nie daje odpowiedzi pożądanej. Może po niej nastąpi inna; w każdym razie jednak widać zaciętość przez samo zapowiedzi powstrzymać się niedającą, od złożenia broni daleką. Ta Kuba, która żyje w obozach powstańczych, wolałaby ciepły kożuch, niż ciepłe słowo, a kożuch jak najsuciej skrojony przez Hiszpanię, dla niej będzie jeszcze ciągle za kusym. Autonomia dorównać musi zupełnej prawie niezależności; a takiej chyba Hiszpanie bez walki niepomyślnej dla siebie nie dadzą. Tymczasem powstanie trwa, a lada tydzień odpłynie nowe kilkanaście tysięcy wojska do Antylów.

Grozi jeszcze pronunciamento już od karlistowskiego niezależne. W samem wojsku, złożonem przeważnie z próżniaków, ucierają się z sobą dwie fakcye: oficerów-szaraków, którzy wybili się w górę z podoficerstwa, i oficerów - szlachetnych, którym już do kołyski wkładano złote naramienniki. Jędza pychy rozdziera siłę zbrojną Hiszpanii, wprowadzając rozszczepienie i w życie obywatelskie: w żadnym bowiem innym kraju na świe-

cie żołnierz nie jest tak dalece obywatelem ze swych drgawek i podrzutów, jak w Hiszpanii. Generałowie stale tam polityknją, na własną rękę lub wespół ze stronnictwami cywilnemi. Potrzeba tylko zachwiania się rządu regentki, z braku ludzi lub energii, aby tradycyjny rokosz zaświadczył o sobie, że go jeszcze żadne konstytucyonalizmy zdławić nie zdołały.

Tydzień polityczny. P. Badeni sprawił nową niespodziankę sejmowi przedlitawskiemu: d. 12 b. m. powiedział długą, ale niewielką mowę, której wybitnem znamieniem jest gotowość do podjęcia nowych starań o pogodzeniu Niemców z Czechami i prawodawczego urządzenia stosunków, zwanych językowymi. Minister przemawiał jak człowiek czujący twardy grunt pod nogami: musi posiadać zaufanie cesarza, a to odsuwa myśl o jego bliskiej dymisyi. Na Niemców dotychczas nie widać wpływu; na Węgrzech niektóre poważniejsze dzienniki nie przestają wątpić o rozwiązaniu lub rozcięciu węzła w inny jaki sposób, a nie przez dymisyę. Młodoczesi sarkają na zbytnią miękość, osłaniającą może tajone umizgi do Niemców. Rząd obstaje przy owym § 14, jako podstawie prawnej zamierzeń, które nieuniknionemi okazać się mogą. Objaśnienie, dane przez dr. Bilińskiego, w dwa dni po pierwszem wystąpieniu w d. 6 b. m., nie przekonywa o prawności zajętego stanowiska; pokazuje tylko wąwóz, w jaki wepchnęło rząd ułomne prawodawstwo ugodowe z r. 1867. I ów § 3, o którym tu mówiono, nie zaspokoi całkowitej potrzeby; gdyż sprawy w § 11 ustawy o przedstawiennictwie sejmowem wskazane z pod niego się wyłamują, a i one przecież wchodzą w obręb zagrożonej ugody; w każdym jednak razie oznaczenie kwoty, najważniejsze ze wszystkiego, co do zrobienia pozostaje, na mocy powyższego paragrafu nietylko przez władzę wykonawczą dokonanem być może, ale jeśli wogóle być ma, na tym paragrafie oprzeć się musi.

Izba deputowanych w Wiedniu przy niezmienionej taktyce Niemców zdołała d. 12 b. m. umorzyć drugie z rzędu oskarżenie p. Badeniego o niekonstytucyjność, ale dokonała tego przewagą sześciu tylko głosów, co nie jest wcale pocieszającem. Komisya budżetowa prowadziła przez kilka dni rozprawy już rzeczowe nad projektem tymczasowej ugody z Węgrami. Po ostatecznem usunięciu się Kathreina a uchyleniu Ebenhocha od zaszczytu, prezesem Izby został p. Abrahamowicz, pierwszym wiceprezesem Kramarz. D. 16 b. m. zebrały się delegacye.

We Francyi rząd wniósł projekt ujawnienia procedury śledczej. Odtąd badany będzie mógł mieć od pierwszej chwili obrońcę. W Izbie p. Meline miał mowę o rolnictwie i kolektywizmie, zakończoną twierdzeniem, że wszystko jest dobrze, jak jest. Rodzina i przyjaciele Dreyfusa nie przestają okłamywać opinii i sejmu niewinnością skazanego. W arsenałach francuskich stoi już kilkaset cichaczem wyrobionych dział szybkostrzelnych, najnowszego pomysłu.

Lord Salisbury zwyczajem poprzednika, d. 9 b. m. na obiedzie u nowego lorda-mayora Londynu, Davisa, miał mowę polityczną. wysławił koncert europejski i „admirałów,“ stwierdził nieporozumienia z Francyą. Wybuchły one w Afryce zachodniej po nad zatoką Gwinejską. Anglicy chcą wydrzeć Francuzom Bussę.

Ks. Bismarck słabuje. Rada związkowa uchwaliła projekt jawności sądów wojskowych. Sejm cesarstwa zwołany na 30 b. m.

Sagasta ma już dekret rozwiązujący kongres. Weyler powrócił już do kraju Po drodze, na Kubie, pozwolił się uwielbić miejscowym wstecznikom. W skarbie kubańskim wykryto nieporządki z czasów jego urzędowania

Pokój grecko-turecki już bliski. Z Austryą ma padyszach zatarg o pokrzywdzenie obywatela austro-węgierskiego.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

PILNE POTRZEBY.

Pomimo istnienia Banku włościańskiego, pomimo przekształcenia tej instytucyi i zbliżenia jej bardziej do potrzeb istotnych, pomimo wreszcie działających w Królestwie Polskiem kas gminnych, lud nasz dotąd jest pozbawiony kredytu obrotowego na warunkach dogodnych. Sprawę tę przed kilku dniami na posiedzeniu sekcyi rolnej poruszył p. Kirszrot-Prawnicki w odczycie wyczerpującym, opracowanym z gruntowną znajomością rzeczy. Ponieważ z ust mówcy mieliśmy sposobność usłyszeć bardzo wiele ciekawych i żywotnych kwestyj, ponieważ odsłonił on te potrzeby i warunki ludności wiejskiej, na jakie dotąd prasa prawie nie zwracała uwagi lub traktowała je mimochodem, po wierzchu, więc skwapliwie spieszymy uwydatnić obraz tych warunków i potrzeb.

Królestwo Polskie posiada 1,295 kas gminnych pożyczkowo-oszczędnościowych z kapitałem 1,302,125 rs. i obrotem rocznym 12 milionów. Ale, jak rzekliśmy, nie odpowiadają one wcale potrzebom ludności. Korzystają z nich w znacznej mierze nie ci, dla których według ustawy są przeznaczone, lecz aferzyści, a nawet lichwiarze. Tym sposobem obok procentu właściwego wytworzył się dodatkowy, nielegalny. Nieumiejętni i nieodpowiedni kierownicy tych instytucyj czynią obroty po za prawem. Ktoś proponował, ażeby zamiast kołatania o kasy innego typu, starać się o rozszerzenie gminnych, przedewszystkiem tak, izby zamożniejsi właściciele ziemscy mogli tam wnosić sumy kilkusetrublowe w celu dawania pożyczek na najważniejsze potrzeby włościan, zwłaszcza przy działach familijnych. Istotnie spłaty tego rodzaju są ważnym czynnikiem ekonomicznym ludu naszego. Skłonność do działów, skutkiem wzrostu ludności, coraz jest większa; zwróciło na to uwagę prawo i unieruchomiło grunty dziedziczne. Ale siła potrzeby i skłonności do gospodarki samodzielnej, a z drugiej strony brak gotówki na spłaty rodzinne, wytworzyły obejście tego prawa. Rozdrabnianie gruntów odbywa się ciągle i niema możności zapobieżenia temu, dopóki włościanie na to potrzeby nie będą mieli kredytu odpowiedniego. Zapewne, propozycya, ażeby zamożniejsi właściciele ziemscy przychodzili z pomocą włościanom w tych razach, tj. żeby udzielali im pożyczek, jest myślą dobrą. Ale za pośrednictwom kas gminnych czynić tego niepodobna, bo po pierwsze nie można być pewnym, czy właściwie będą te sumy użyte, a powtóre kasy owe, zapewne z jakichś pobocznych wyrachowań, nie chcą przyjmować takich zasiłków. Między innymi był wypadek, że kasa robiła trudności przy przyjęciu sumy na spłaty rodzinne z wyroku sądowego. Chłop, zmuszony sądownie do złożenia tam kwoty, chodził trzy tygodnie naprożno. Dopiero wtrącenie się właściciela ziemskiego i wykaza-

---

W. DOROSZEWICZ.

SACHALIN.

Warsztaty więzienne.

Korsakowskie warsztaty — stolarnia, ślusarnia, tokarnia, szycie obuwia, szwalnia, kuźnia — robią niezgorzej.

I w domach urzędników, i we Władywostoku u wielu można widzieć bardzo przyzwoite meble, zrobione w warsztatach korsakowskich.

Umieszczono je na podwórzu więziennem. Wielu rzemieślników nocuje tam nawet.

Jakoś lżej na duszy, gdy z nędzy więziennej wychodzi się do warsztatów.

Widać tu przynajmniej byt znośniejszy. Ludzie mają jaki taki zarobek poboczny.

Ten i ów ma łóżko, jakie takie gałgany.

I twarze nie takie katorżne, praca wyciska na nich szlachetniejszy, ludzki wyraz.

Praca przymusowa, to „pańszczyzna“; ale jakże inaczej, jak starannie pracuje więzień, jeżeli choć trochę jest zainteresowany w tej pracy.

Proszę pochwalić jego robotę:

— Doskonałe „koty“ (trzewiki aresztanckie). Widać, żeś dobry majster. Do delikatnej roboty zdolny jesteś.

Dobre słowo na katordze jest rzadkością*).

Dobre słowo — niezwykłe, robi na skazańcu większe wrażenie, niż zwykła rózga.

Od pochwały twarz robotnika rozjaśnia się uśmiechem; wydostanie ze skrzynki i pochwali się robotą „na stronę.“

Jaka to staranna robota, wykonana z zamiłowaniem! Podeszwy ozdobiono rysunkami.

Nie dlatego to robi, żeby mu płacili drożej, ale dlatego, że lubi „swoją“ robotę, stara się ją dobrze wykonać, pracuje tak nad butem, jak artysta-jubiler nad oszlifowaniem brylantu, który mu się podobał

I nie naprożno ludzie, dobrze znający katorgę, twierdzą, że gdyby ją choć trochę zainteresować materyalnie w pracy, mniej byłoby nieponiów, graczy, recydywistów, mniej ludzi ostatecznie ginęłoby tam moralnie.

Ale dość „filozofii.“

Oto mamy znowu ponury obraz „katorżny.“

Młody człowiek robi dużą, niezgrabną trumnę; inna, już skończona, stoi tuż na podłodze.

— Czy są zmarli?

— Nie. Ale ze szpitala dano znać, że będą. Więc oto robię trumny.

Przy tych słowach z gniewem wbija gwóźdź.

— Kłopot z tymi dyabłami! Byłem dobrym z urodzenia stolarzem u Fajnera w Kijowie; może pan zna, pierwszorzędny magazyn. A teraz ot, trumny klecić trzeba! Tfu!

— Za co dostałeś się tutaj?

— Za zabójstwo w uniwersytecie kijowskim?

— Z rabunkiem?

*) Pamiętam w Aleksandrowskim posterunku przy spotkaniu powitał mię jakiś osiedleniec, trochę pijany.

— Chrystus zmartwychwstał, panie!

— Zaiste zmartwychwstał!

Osiedleniec zdjął czapkę, ukłonił się do pasa, nie, niżej, prawie ręką dostał ziemi.

— Pokornie dziękuję

— Za cóż mi dziękujesz, dziwaku?

— Za dobrą odpowiedź. Bardzo łaskawie odpowiedzieliście, panie.

nie nieprawności takich przeszkód, wywarło skutek pożądany.

Ze strony ziemian zamożniejszych o wiele skuteczniejszą byłaby pomoc taka, jakiej udziela hr. Moszyński. Pożycza on włościanom wsi sąsiednich pieniądze na spłaty rodzinne i wszelkie inne potrzeby pilne i od lat kilkunastu ma bardzo sumiennych, akuratnych dłużników. Zaznaczamy tylko to, cośmy słyszeli z ust p. Moszyńskiego. Jego działalności szczegółowej w tej mierze nie znamy, w pobudki zaś osobiste wnikać nie mamy powodu. Podnosimy sam tylko fakt, że umieszczanie skromnych, zbywających funduszów w kieszeniach ludu jest pewną lokatą, a zarazem skuteczną pomocą. Ale to pomoc prywatna, możliwa tylko w pewnych miejscowościach, a zatem zaliczyć ją trzeba do wyjątkowych i dorywczych źródeł kredytu. W większości sami właściciele ziemscy prawie w każdej chwili pożądają gotówki. Więc czy mogą oni, według rady hr. Moszyńskiego, odkładać rocznie kilkaset rubli jako fundusz na pożyczki z procentem umiarkowanym dla włościan? Tu trzeba stałej i jednolitej organizacyi.

O kredycie przystępnym dla ludu myśli dziś Towarzystwo kredytowe ziemskie. Kiedy i w jakiej postaci pomoc ta wyjdzie z jego łona, nic jeszcze nie wiemy. W każdym razie niezależnie od tego, co ono uchwali, trzeba pomyśleć o kasach tego typu, jakie zaleca p. Kirszrot-Prawnicki. Od r. 1895 istnieje zatwierdzona dla całego państwa ustawa normalna kas pożyczkowo - oszczędnościowych według typu kas Reifeisena. Mają one wszakże jedną zasadniczą wadę na gruncie państwa rosyjskiego: nie uwzględniają, jako normy, kredytu długoterminowego, który przecież najbardziej jest pożądany dla ludu. Według ustawy, nie jest on zasadą, lecz tylko wyjątkiem. Skutkiem tego tam, gdzie kasy owe działają, tj. w Cesarstwie, dzieje się wielce charakterystyczne obchodzenie prawa. Pożyczki właściwie są udzielane na termin krótki, ale można je przedłużać za pomocą *pokazania* pieniędzy. Dłużnik przychodzi do kasy, pokazuje, czyli wnosi sumę pożyczoną i natychmiast bierze ją powtórnie, niby jako nową pożyczkę. Takie przepisywanie sumy nie jest krzyczącem nadużyciem i może być wybornymi pozorami usprawiedliwione. Ale wytwarza ono inne warunki, wielce szkodliwe dla pożyczkobierców. Z dłużnikiem kasy przybywa jednocześnie człowiek usłużny, osobny typ lichwiarza, którego zrodziła krótkoterminowość kredytu. Pożycza on kwotę potrzebną tylko na czas jej pokazania kasyerowi, tj. na jedną minutę, za co pobiera 1%. Tym sposobem banknoty jego, stanowiące sumę pożyczki, wracają do kasy w ciągu godziny czasem razy kilkanaście. W życiu codziennem nie jest to oczywiście uważane za lichwę; ale wynagrodzenie usług, praktykujące się także w wielu innych operacyach. Chłop płaci za prolongatę, jak w lombardach, z tą różnicą, że opłatę pobiera nie kasa, lecz kapitalista ukryty. W gruncie rzeczy opłaca procent dwojaki, prawny i nieprawny, co w sumie stanowi dość znaczny ciężar i nie daje wcale kredytu taniego.

O ile wiemy, wszelkie ustawy normalne są znacznem uproszczeniem dla osobnych miejscowości i prowincyj, jeżeli te się starają o pewne organizacye dla siebie. Można do tych wzorów, stosownie do potrzeb miejscowych, dodawać pewne uzupełnienia lub czynić zmiany. Otóż starając się o kasy reifeisenowskie dla Królestwa Polskiego, należy położyć nacisk na warunek długoterminowości, jako zasady. Dotychczas starano się kilkakrotnie o takie kasy, ale ściśle według ustawy normalnej, bez najmniejszych zmian i, rzecz dziwna — pomimo że ta ustawa służy dla *wszystkich* dzielnic państwa *bez wyjątku*, te zabiegi kilkakrotnie pozostały bez odpowiedzi. Kiedy zaś p. Kirszrot-Prawnicki zasięgnął bezpośrednio wiadomości u źródła w Petersburgu, odpowiedziano mu, że przeszkodą dla Królestwa Polskiego jest „nieprzychylna opinia“ władz miejscowych. Nieprzychylność zaś ta wynika stąd, że kasy według typu Reifeisena dopuszczają udział inteligencyi i jakoby nie podlegają kontroli urzędowej. Co do tej ostatniej, istnieje ona, i to nawet dość ścisła. Ministeryum ma prawo rewidować w każdej chwili i zabraniać niektórych operacyj, według własnego uznania. Co zaś do obawy uczestnictwa inteligencyi, niepodobna powstrzymać się od zdumienia wobec takiego motywu. Wszędzie bowiem życie i rozumne poglądy na jego potrzeby dowiodły, że udział ludzi światłych w organizacyach kredytowych, zwłaszcza dla włościan, należy do warunków koniecznych, pierwszorzędnych. Gdzie zaś warunek taki nie jest uwzględniony, tam kasy działają ujemnie, ze szkodą ogółu.

Ponieważ przeszkody, zawarte w motywach powyższych, muszą być prostem nieporozumieniem, więc należy ponowić zabiegi rozumniej i energiczniej, z wyświetleniem całej istoty rzeczy. Trzeba przytem położyć nacisk na ten warunek pierwszorzędny. Lud wymaga nietylko kredytu osobistego, ale i rzeczowego, a przy tranzakcyach kredytowych pożądany jest rozumny i sumienny doradca; chłop bowiem wszelkie długi swoje płaci przeważnie w naturze: zbożem, bydłem itd. Takie operacye narażają na większy wyzysk, niż przy uiszczaniu należności gotówką. Otóż przy takich kłopotach włościan, instytucye kredytowe powinny przychodzić z pomocą, a pomoc będzie tylko wtedy skuteczna, gdy przyszłemi kasami zaopiekują się ludzie światli, rozumiejący i odczuwający szczerze potrzeby i troski ludu.

KRONIKA KRAKOWSKA.

8 listopada.

Majaczenia. — Podkop. — Dzień Zaduszny. — Czesław Kieszkowski. — Towarzystwo ubezpieczeń. — System protekcyjno-familijny. — Otwarcie uniwersytetu. — Słuchaczki zwyczajne, nadzwyczajne i hospitantki. — Gimnazyum żeńskie. — Uniwersytet ludowy.

W Nowej Pinakotece monachijskiej znajduje się obraz Piglheina, zatytułowany: „Ślepa.“ Nigdy chy-

---

— Tak. Dużo narabowałem; kieszeń trzymaj szeroko!

— A czy na długo?

— Bez terminu.

Niedaleko staruszek w okularach, pochyliwszy się nizko, szyje „koty,“ starannie wbija ćwieczki.

— Dawno tu jesteś, staruszku?

— Niedawno, miłościwy mój panie — grzecznie odpowiada — niedawno.

— A za cóż?

— Swoją starą zabiłem.

— Żonę?

— Nie, tak. Kochanką była. Dziesięć lat zgodnie przeżyliśmy. I taki grzech się zdarzył!

— Cóż się stało?

— Zgłupiała, stara Mieszkaliśmy w Teodozyi; słynąłem tam jako majster dobry, żyłem skromnie, miałem pieniądze. Na nie ona się pokusiła. „Umrze — powiada—sam, wszystko krewni zabiorą! Otruję, otruję i pieniądze wezmę.“ I jeszcze zaczęła się bałamucić z młodym. „Otruję!“ Uważam na nią. Żyjemy jak dwa wilki w klatce, zęby na siebie szczerzymy. Boję się jej, tylko patrzeć, jak otruje; a ona i mnie się boi, bo widzi, że uważam. Tak ciężko było wtedy, tak ciężko... Nie wytrzymałem... zabiłem...

Ileż tu dramatów!

„Rewir.“

Korsakowski rewir więzienny jest to właściwie co do celu — ten sam szpital, co do charakteru — to samo więzienie.

W rewirze tym umieszczają niezbyt ciężko chorych, a wymagających wypoczynku.

Tutaj są i starzy, i młodzi, niezdolni do pracy, skutkiem choroby lub kalectwa.

Jest tu jedna tylko wygoda, że każdy ma własną pościel. Powietrze także sparte i duszne, jak w więzieniu.

Rewirem zarządza lekarz Surmiński, „stary służbista sachaliński,“ o którym mówił mi z zachwytem inspektor.

— Oto doktór, to rozumiem — doktór! Gdzie dziś młodemu równać się z nim! Słabych więźniów prawie nie posiada: wszyscy są w pełni sił, wszyscy zdatni do roboty. Przychodzi do niego aresztant i skarży się — „łżesz!“ Nie to, co dzisiejsi!

Co to jest za doktór, można mieć pojęcie z przykładu następującego:

Nasz majtek z parowca „Jarosław“ oblał sobie w łaźni głowę wrzącą wodą.

Oparzenie było straszne; twarz i głowa cała przypominały jakąś masę bezkształtną.

Posłano chorego do doktora Surmińskiego.

— Niech wiozą na parowiec! Oni mają swego lekarza!

I trzeba było nieszczęśliwego odesłać do przystani, czekać dobrą godzinę, zanim wróci statek przewozowy i wieźć chorego podczas silnego falowania statkiem łatwo bujającym się jakieś półtory wiorsty na parowiec...

Po takim fakcie łatwo zrozumieć wszystkie opowiadania, krążące śród katorgi o tym lekarzu.

W rozmowie z nim uderzyło mię jego zamiłowanie do kary cielesnej.

— „Kropną,“ i tyle!

Jakby to była mowa o jakiej rozedzie. Z takim smakiem wymawiał: „kropić!“

Ale Bóg z nim! Przejdźmy lepiej do typów więziennych!

Oto porządnie, nawet ze śladami elegancyi ubrany niemłody już człowiek.

Umyślnie przypalał sobie papierosem podniebienie i jątrzy ranę, żeby leżeć w rewirze.

— Cóż to, pracować nie chce?

— Gdzie tam! — śmieją się chorzy — był starszym w numerze; za kradzież wypędzono go, więc teraz wstyd mu w „numerze“ oczy pokazać. Poprzednio spał ciągle na swoim tapczanie, a teraz poszedł do „ogólnej.“ Był starszym, „wła-

ba i nigdzie nie odmalowano z taką plastyką cichego tragizmu duszy ludzkiej, której na drodze życia pogasły promienne blaski ideału. Przez skaliste uroczysko, z głową podniesioną ku niebu, z wyrazem spokoju i rezygnacyi na młodej jeszcze twarzy, idzie niwidoma kobieta. Na bose jej nogi czają się po drodze jak koty drapieżne, ostre głazy, ciernie i osty. Wyciągniętą ręką, w której trzyma kij pielgrzymi, stara się wyczuć drogę w ciemności. W drugiej ręce dźwiga dzban ciężki, ogromny, bodaj czy nie napełniony łzami, które wylała z tęsknoty za utraconem słońcem.

Obraz ten przypomniał mi się, kiedy dano mi polecenie przesyłania nowin krakowskich do Warszawy. Zdawałoby się, że okoliczność ta nie ma najmniejszego związku z płótnem Piglheina i z duszami, które oślepły od zbytniego wpatrywania się w słońce. A jednak związek ten istnieje. Jak ta ślepa kobieta, nie widzę również nic dokoła siebie. Błądzę w ciemności po nieznanaj drodze, do niewiadomego celu — nie wiedząc, dokąd i po co. Wszystkie objawy życia wydają mi się martwą zupełnie siłą, w banalnym fatalizmie nieubłaganą, której ani w żadne karby ująć, ani żadną wolą pokierować się nie da. Nie pojmuję, co to kogo może obchodzić, że w jakiemś mieście popełniono defraudacyę lub że jakiś milioner umierając, zapisał część swoich skarbów, nabytych z pewnością krwią i potem ludzkim, na cele filantropijne?

Jak to bywa u ślepców, mam ja w duszy świat cudny, słoneczny, całkiem do tego, na którym żyjemy, niepodobny. Ale tego świata znowu nikt nie jest ciekawy. A tu żyć trzeba. Jestem więc kronikarzem. Darują czytelnicy, że tak dużo mówię o sobie, a — broń Boże — niech komu na myśl nie przyjdzie, że czynię to, aby napisać większą liczbę wierszy. Chcę tylko zainteresować was swoją osobą i prosić, jeśli pogadanki moje znudzą was okropnie, nie mówcie o tem redaktorowi. Gotów mi wypowiedzieć od pierwszego, a gdzież ja się podzieję, jeśli nie przygarną mię w *Prawdzie*, której kult był i został jedyną religią mego życia.

Widocznie bogowie opiekują się mną, bo pierwsza wycieczka, przedsięwzięta w celu dowiedzenia się czegoś ciekawego, była pełną wrażeń. Nieprzebrane tłumy ludzi snuły się po ulicach, a wszyscy zdążali w jednym kierunku, gdzie właśnie po raz pierwszy otworzono podkop kolejowy. Nareszcie życzeniu pewnej części obywateli stało się zadość. Dzielnica teraz bardzo już zabudowana, która, odkąd kolej istnieje, miała utrudnioną komunikacyę ze śródmieściem, a od pół roku zupełnie prawie przerwaną— otrzymała wolny dostęp do miasta, w każdej chwili i o każdej porze.

Był to właśnie dzień Zaduszny. Podkop otworzono po raz pierwszy. Nikt nie szedł górą, wszyscy ciekawi byli wrażenia, jakie sprawia myśl: czy to się zwali na głowę, czy nie? Spieszę za innymi. Podkop otwarto w połowie tylko, dla pieszych. Filistrzy, którzy oszczędzają sobie nog, aby na starość mogli chodzić — muszą objeżdżać po dawnemu, daleko dokoła.

Tłum spieszy dalej — drogą ubraną w wieńce i kwiaty. Cały Kraków wyległ na ulicę. Natłok ludzi staje się coraz większy. Co chwilę po nad tłum wybiega rozpaczliwy okrzyk kobiecy: „zadusicie dziecko! — moje dziecko!“ — to znów męzki głos, pełen oburzenia: „proszę się nie pchać!“ Przechodzi to jednak bez najmniejszego wrażenia. Wszyscy gniotą się, napierają jedni na drugich, tratują wzajemnie, sami nie wiedząc dlaczego. Ot zwyczajnie, jak w życiu.

Na cmentarzu mało kwiatów i światła, znacznie mniej, niż w inne lata. Widocznie olbrzymie plakaty, nawołujące w patetycznych, pełnych hipokryzyi słowach: „Mniej kwiatów, mniej światła,“ odniosły skutek. Czy jednak zyskali na tem rzeczywiście biedacy? Czy zyskała etyczna strona zbiorowej duszy ludzkiej? Nie zdaje mi się. Nie wiem, czemu żal mię ogarnia ciężki, jakby poczucie głębokie, że krzywda stała się tym, którzy od nas odeszli i nigdy już nie wrócą, i nic już od nas potrzebować nie będą. Po co im odebrano to, co dawali im najbliżsi, kochani, raz na rok tylko — i zwykle przez kilka tylko lat? To kramarskie obliczanie wszystkiego na brzęczącą monetę, to zrywanie wszelkich związków, które nic nam już nie dadzą, wydaje mi się czemś brudnem, czemś przerażająco sobkowskiem.

Ale wpadam znowu w majaczenia ślepca, który nie widzi, co się koło niego dzieje i woli wydać pieniądze na kwiaty dla umarłych, niż na chleb dla żywych. Prawda, tyle nędzy dokoła — tyle nędzy!

Otrząsam się z niezdrowych mrzonek i słucham, co mówią koło mnie.

„A cóż Kieszkowski — prawda, jaki zuch? Skradł 200,000 złr. i czmychnął. Jeszcze mu podobno 14,000 dali na drogę, żeby nieborak miał na początek nowej karyery. Bo przecież on zanadto nawykł do zbytku, żeby mógł tak bez grosza błąkać się po świecie.

„Co ty mówisz, 200,000? Tego będzie najmniej pół miliona, jeżeli się zliczy wszystkie pozycye, które *Czas* rubrykuje: na pewno zdefraudowane— prawie na pewno zdefraudowane i przypuszczalnie zdefraudowano. Ktoby to był pomyślał — taki wielki pan, mecenas sztuki, protektor, dobrodziej i ojciec takiej licznej rodziny. Strasznych doczekaliśmy czasów. Ciekaw jestem, co będzie z tymi biedakami, którzy odejmując sobie od ust, płacili asekuracyę, żeby zabezpieczyć rodzinę?“

„*Czas* zaręcza, że wszystko zostanie wypłacone z funduszu rezerwowego i że nikt szkody nie poniesie.

„A więc to dlatego nie wypłacano dywidendy członkom, dlatego nie zniżano opłaty od asekuracyi, która w Towarzystwie krakowskiem jest wyższą, niż w każdem innem, żeby było czem opłacać wybryki szerokiej natury pana Czesława?“

A wiecie, kto był p. Czesław Kieszkowski? Jeden z dyrektorów wielkiej instytucyi finansowej, której głównym dyrektorem był jego ojciec. Wszyscy wiedzieli, że p. Czesław żyje nad stan, że wydaje kolosalne sumy, że tysiące przegrywa w karty, ale wystarczało jedno zmarszczenie jego brwi, żeby wszelkie podejrzenia milkły, zawstydzone swojem zuchwalstwem.

I oto stoimy wobec złodziejstwa tak nikczemnego, tak niczem nieusprawiedliwionego, tak potwornego, iż wprost piszę o niem, zdaje się, że myśl i ręka się plami od samego dotknięcia tych brudów.

Towarzystwo wzajemnych ubezpieczeń było instytucyą bardzo pożyteczną i bardzo świetnie rozwijającą się. Żal pomyśleć, że dzięki dokonanym złodziejstwom (w przeszłym roku popełniono defraudacyę w filii lwowskiej) zaufanie publiczności ogromnie zostało podkopanem. Wiadomą bowiem i stwierdzoną jest rzeczą, że większość członków zarządu i rady nadzorczej wiedziała o sprzeniewierzeniach, popełnianych dawniej częściowo przez Kieszkowskiego. Stwierdzono, że utrudniano i maskowano odkrycie ostatniego, że ułatwiono nawet złodziejowi ucieczkę. Dziwić się temu trudno, zważywszy, że jak zwykle w Galicyi, byli to po największej części krewni, przyjaciele, ludzie związani stosunkami towarzyskimi i zależni od Kieszkowskich ojca

---

dzą,“ urzędnikiem“ — a teraz taki katorżnik, jak inni.

Katorga śmieje się.

Biedak, widocznie bardzo cierpi skutkiem zadraśniętej miłości własnej.

— Tyś co za jeden, staruszku?

— Jestem do niczego nieżdatny człowiek, wielmożny panie... Zbyteczny innym i sobie. Tak oto żyję tylko, porcyę swoją zjadam!

— I ileż to lat?

— Lat nie tak bardzo dużo, ale bicia — bardzo, bardzo dużo! Jestem włóczęgą; jeszcze na Syberyi zajmowałem się włóczęgostwem. Los chciałem zmienić. Pojmano i tak bito! Ani się położyć, ani wstać... Ciężko tu siedzieć, och, jak ciężko! No, ale przecież niewiele już zostało. Teraz niewiele...

— Co, termin prędko się już kończy?

— Nie. Umrę!

Obok niego siedzi jakiś suchotnik.

— Gdybym mógł się dostać na tamtą stronę! Prędzejbym się poprawił...

— Ależ panie doktorze, dla niego to powietrze okropne.

— Tak... tak... No, ale cóż począć!

Więzienie dla kobiet.

Niewielkie. Tylko jeden „numer“ na 10 osób. Kobiety przecież na Sachalinie odbywają osobną katorgę: oddają je osiedleńcom na „wspólne pożycie.“

W więzieniu siedzą tylko te, które pozostają pod śledztwem.

Za naszem wejściem z tapczanów powstały dwie.

Jedna staruszka, Czerkieska, recydywistka w morderstwie, nierozumiejąca ani słowa po rosyjsku.

Druga—kobieta młoda, włościanka z gubernii Wiackiej. Dostała się do katorgi za to, że namówiła kuma, ażeby zabił jej męża.

— Z jakiego powodu?

— Gwałtem oddano mię za niego. Kuma zaś kochałam. Myślałam, że razem z nim pójdę do katorgi. Tymczasem mnie w inne i jego w inne miejsce.

Tutaj ona popełniła rzadkie na Sachalinie przestępstwo.

Z orężem w ręku broniła swego towarzysza współpożycia.

Pokłócił się on z osiedleńcami. Rzuciło się na niego dziewięciu ludzi i zaczęło bić. Wówczas ona wpadła do chaty, porwała strzelbę i wystrzeliła do pierwszego lepszego z napastników.

— Cóż ty, pokochałaś tego towarzysza współpożycia?

— Naturalnie, pokochałam. Gdybym nie kochała, czyżbym mogła zasłaniać go sobą? Przecież mogli mię zabić... Dobry człowiek, myślałam, że całe życie z nim spędzę, a teraz...

Ociera łzy i zaczyna cicho łkać.

— Nic jej nie będzie — uspokaja mię inspektor — osądzą, ześlą na dalsze osiedlenie, znowu do współżycia z jakim osiedleńcem .. Kobiety u nas na Sachalinie są bezkarne.

Istotnie wygląda, jakby to była bezkarność.

Ale czyż można obmyślić cięższą karę nad to „oddanie“ komuś kobiety, która kochała bardzo gorąco i gotowa była życie swoje nieść w ofierze!

Czuło się w tem jakiś ciężar z czasów zamierzchłych, prawo pańszczyźniane, kiedy to tak spokojnie „oddawano,“ igrając cudzem życiem i sercem.

Ze wszystkich więzień, któreśmy obeszli, to małe robi najbardziej pognębiające wrażenie.

(C. d. n.).

i syna, którzy każdej chwili mogli pozbyć się niewygodnych świadków. Cień tej sprawy padł teraz i na głowy ludzi zacnych i nieposzlakowanej prawości, zasiadających w radzie, ale niemających kwalifikacyi do kierowania instytucyą finansową tych rozmiarów, ani dość energii, żeby walczyć z wyrafinowanem oszustwem i nierachującą się z niczem żądzą użycia...

Czarne myśli, jak natrętne komary, obsiadają mi głowę. Jak ciężko, jak okropnie ciężko jest żyć człowiekowi, jeśli nie chcąc gardzić i nienawidzieć, musi udawać ślepego, aby nie dostrzegać, co się koło niego dzieje. Mam ochotę uciec od tego tłumu, spacerującego swobodnie wśród grobów, od tych rozmów czczych i banalnych. Przypominam sobie jednak, po co tu jestem i zaczynam nadsłuchiwać na nowo.

„Czy był pan na otwarciu uniwersytetu? — mówi jakaś rezolutna niewiasta do swego towarzysza. — Prawda jaką porządną mowę powiedział rektor? Nie było takiej oddawna. Wyobrażam sobie, jak musieli być zgorszeni poprzedni rektorzy pominięciem polityki — zachęt do nauki i powitaniem kobiet słuchaczek.

„Czy tylko to pominięcie polityki nie było właśnie polityką ze strony rektora?

„Jak pan możesz nawet przypuścić coś podobnego. Ks. Knapiński jest uosobieniem prawości i z pewnością nie zrobiłby nigdy nic w życiu bez głębokiego przekonania. Co za szkoda, że rektorów tylko na rok wybierają. Ten zaprowadziłby tu ład na uniwersytecie. Ukróciłby samowolę władz uniwersyteckich i wymiótłby politykę z katedry pierwej, niż z ławek."

Z dalszego toku rozmowy dowiaduję się, że na uniwersytet zapisało się 85 słuchaczek nadzwyczajnych, a 17 hospitantek. Kobiety jednak pokrzywdzono jak zawsze i wszędzie, ponieważ nie są przyjmowane na nadzwyczajne słuchaczki obce poddanki. Właściwie prawa hospitantek i słuchaczek nadzwyczajnych są jednakie, to jest obie kategorye nie mają żadnych. Wobec tego wszakże, że na wydział filozoficzny mogą już uczęszczać kobiety jako słuchaczki zwyczajne, o ile przedstawią świadectwo dojrzałości gimnazyalne, tym nadzwyczajnym słuchaczkom, które zdadzą egzamin gimnazyalny w czasie uczęszczania na uniwersytet, zaliczone być mogą lata poprzednich studyów, hospitantkom zaś nie.

„A cóż gimnazyum żeńskie — zapytuje trochę sceptycznie jakaś dama, która przyłączyła się do towarzystwa. — Istnieje jeszcze?

„Naturalnie — odpowiada energiczna niewiasta, która zdaje się być wtajemniczoną we wszystkie sprawy, jakie dzieją się w Krakowie. — Otworzono drugą klasę. Jest 56 uczennic. Rada szkolna objawia coraz większą przychylność. W tym roku otrzymamy zapomogę, na przyszły — prawo publiczności, a jak wyjdą pierwsze maturzystki, gimnazyum nasze przejdzie na etat rządu.

„A słyszał pan o uniwersytecie ludowym?

„Gdzie? W Wiedniu?

„Skądże znowu. Tu w Krakowie i po wsiach okolicznych już tej zimy rozpoczynamy wykłady uniwersyteckie dla ludu. Historya, literatura, geografia, fizyka, nauki społeczne...

„Koniec świata! I to w Krakowie? Nie do uwierzenia."

Cacca.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Nowa ofiara.

Sławny twórca teoryi naśladownictwa, Tarde, z ostatnich objawów naszej filantropii poczerpnąłby niezawodnie popierające ją dowody. Na szczęście to naśladownictwo rozwija się w kierunku bardzo pożądanym — i bodajby ta „zaraza dobrego" grasowała jak najdłużej. Po Wawelbergu, Rotwandzie, Czabanie wystąpiło Dnieprowskie Towarzystwo metalurgiczne z darem 100,000 rs., od których procenty mają służyć na stypendya dla młodzieży, kształcącej się w naukach technicznych. Dar ten jest dla nas z wielu względów niespodzianką. Naprzód Towarzystwo Dnieprowskie działa daleko po za obrębem naszego społeczeństwa, powtóre jego akcye spoczywają przeważnie w rękach bądź kapitalistów zagranicznych, bądź też ludzi, których trudno było posądzać o jakąś szczególną dla nas miłość. Ale mniejsza o pobudki i przyczyny; nie badając ich, przyjmijmy z radością i wdzięcznością fakt hojnej ofiary, która umożliwi wielu biednym młodzieńcom zdobycie nauki, jak wiadomo, bardzo kosztownej i przekraczającej siły materyalne nawet średnio uposażonych ojców. Zwłaszcza zaś, jeśli w Warszawie powstanie politechnika, otworzy ona łącznie z innemi niższemi szkołami młodzieży naszej obszerne pole pracy technicznej, dla której owe 100,000 rs. będą bardzo ważnym zasiłkiem.

Pomyślny objaw.

Dzienniki zaznaczyły fakt, który uznać można za niezmiernie pocieszający. Oto w biurach telegraficznych okazał się brak pracowników, a wszelkie odezwy nie mogą zwabić potrzebnej ilości kandydatów. Nie myślimy bynajmniej odmawiać znaczenia tak potężnej instytucyi, jaką jest telegraf i nie chcielibyśmy osłabiać go niedostatkiem sił czynnych. Ale jeżeli ten przytułek niedokończonych gimnazistów, młodzieńców chciwych nędznego, aby tylko szybkiego i łatwego zarobku, odczuwa tak dotkliwie zmniejszenie się dopływu amatorów, to dowodzi, że pewna część naszej młodzieży, która tam szukała podstawy życia, zwróciła się ku pracy produkcyjnej. Do pracy takiej oddawna zachęcamy całe społeczeństwo, które zbyt długo i ze zbyt wielką dla siebie szkodą widziało szczęście w zyskiwaniu rozmaitych „posad," zwykle licho płatnych i tworzących bezmyślne maszyny. Pensye pracowników telegrafu należą do najmniejszych w skali zarobku urzędniczego; jest więc objawem bardzo pomyślnym, gdy młodzież przestaje się dobijać o te kruszyny chleba i przechodzi na inne pola, na których nosi strój mniej pokaźny, ale za to karmi się lepiej. Prawdopodobnie kilka nowych szkół (Świecimskiego, Ronthalera, Mittego itd.) wywarło tu wpływ stanowczy. Chłopiec, który wyszedłszy z 3-ej lub 4-ej klasy gimnazyum, dawniej szukał jakiejś „posady," a między innemi także w telegrafie, dziś wstępuje do specyalnego zakładu, gdzie się uczy dalej z większym dla siebie pożytkiem i z pewniejszą nadzieją bezpiecznej przyszłości.

Nowy rodzaj powieści.

Tłomaczkom naszym zawdzięczamy dość często i dość chętnie przez nie wykonywany pomysł zatracania osobistości autorów dzieł, przekładanych na język polski. Piszą one poprostu w tytule: „tłomaczenie z francuskiego lub angielskiego." Kto zaś jest właściwym ojcem lub matką tego francuskiego lub angielskiego dziecka, które one łaskawie adoptują, o tem nie ma wcale wzmianki, ale za to wielkiemi literami wypisane jest nazwisko przybranej matki. Zwłaszcza beletrystyka nasza posiada mnóstwo powieści przełożonych, których autorowie są zupełnie nieznani i które są zaregestrowane w bibliografii pod imionami tłomaczek. Obecnie zauważyliśmy świeży wynalazek: jedno z pism drukuje „nowelę *umiejscowioną*." I znowu nie wiemy, kto jest jej autorem, ale za to wiemy, że ją „umiejscowiła Konstantyna B." Jakkolwiek nie wymagamy, ażeby utwór artystyczny był protokółem życia realnego, chcemy jednak mieć złudzenie, że to, co czytamy w opowiadaniu, działo się w rzeczywistości. Otóż „nowela umiejscowiona" odbiera nam to niezbędne złudzenie i uprzedza zaraz w tytule: ludzie i wypadki, o których tu opowiadam, są całkiem zmyślone; nie wierzcie wcale w ich istnienie. Czy można sfabrykować w literaturze coś naiwniejszego? Zaiste, przypuszczamy, że gdyby zwolenniczki „umiejscowiania" treści wątków beletrystycznych redagowały dziennik, kto wie, czyby im nie przyszło do głowy „umiejscowiać" również głośne zbrodnie, bohaterstwa, zdarzenia polityczne itd., które spełniły się np. w Paryżu, a które przeniesione zostały do Warszawy.

Ile razy gdzieś w obcej literaturze nasz utwór wyprowadzony zostanie pod maską, natychmiast podnosimy tak okropny krzyk, jak gdyby on zapowiadał koniec świata. Tymczasem nasze Judyty ścinają corocznie głowy setkom Holofernesów i przyprawiają im z wosku podobizny własne — a nikt im za to nie zrobi najmniejszej wymówki. Zdaje nam się jednak, że tym operacyom należałoby położyć koniec.

J. K. Gieysztor.

Przed kilku dniami zmarł w Warszawie J. K. Gieysztor. Litwin z rodu, kształcił się w szkołach miejscowych i uniwersytecie petersburskim. Jako obywatel ziemski wystąpił na szerszą widownię w sprawach ziemiańskich. Piastował nawet przez czas pewien godność radcy Dyrekcyi Głównej Towarzystwa kredytowego. Jednostki tej siły umysłu, a nadewszystko charakteru, straciwszy materyalną podstawę swego bytu i pracy, nie siadają przy gościńcu publicznego miłosierdzia z ręką wyciągniętą po jałmużnę, nie napełniają świata swemi skargami i nie stroją się teatralnie w tragizm złego losu. Gieysztor, nie mogąc być ziemianinem, został księgarzem. W Warszawie zgromadził on bogaty zbiór cennych druków, które licznemi odezwami polecał uwadze ogólnej i zachęcał do nabywania ich. To księgarsko-antykwarskie przedsięwzięcie nie pochłonęło mu całej energii, którą obficie wylewał w służbie społecznej, jako jeden z najdzielniejszych członków Towarzystwa dobroczynności.

Ażeby do 70 roku życia dochować tyle zapału, studzonego i gaszonego przez długi szereg niepowodzeń i rozczarowań, ażeby mieć w starości tyle uczuć do podsycania ognia, płonącego jedynie w duszach młodych; ażeby nie dopuścić starości swego ciała do wpływu na świeżość ducha; ażeby tak ciągle odradzać się ze swych popiołów, jak Gieysztor, na to trzeba było posiadać charakter niezwykłej mocy i czystości.

Stara historya.

Prawie corocznie o tej porze kolej Warszawsko-Wiedeńska sprawia sobie igraszkę z naszych kłopotów i biedy: nie

dostarcza potrzebnej ilości wagonów do przewozu węgla, skutkiem czego cena tego produktu podskakuje nagle, przygniatając swym ciężarem nadewszystko ludność uboższą. Obecnie cena ta dosięgła prawie 2 rs. za korzec — czyli podwoiła się. Naturalnie zarząd tej drogi, zajęty głównie smarowaniem swoich tłustych polciów, lekceważący publiczność jeżdżącą pociągami sezonowymi w lecie, lekceważący ją podczas dostawy węgla w zimie, zapatrzony w dywidendy i gratyfikacye swego Olimpu, mało sobie robi również z tegorocznych krzyków. Musiała wszakże już przepełnić się miarka niedbalstwa, skoro przedstawiciel departamentu kolejowego w Warszawie, p. Mewes, wystąpił do ministeryum skarbu ze skargą na drogę W. Wiedeńską, wykazując dowodami szkody, jakie ona wyrządza ruchowi towarowemu, nie posiadając dostatecznej siły przewozowej i dość obszernej stacyi do wyładowywania transportów. Czy to poskutkuje i czy stara historya lekceważenia przestanie być wreszcie nową — nie wiemy. Wiemy tylko, że już czas wielki, ażeby ta olbrzymia pompa zysków, ciągnąca z kraju milionowe dochody, dobrowolnie lub przymusowo pomyślała wreszcie o swoich względem niego obowiązkach.

Igraszka.

Nadużywanie zdrowia i lekceważenie życia ludzkiego jest zjawiskiem codziennem. Proszę sobie wyobrazić dolę aktorów i aktorek, drżących z zimna, narażonych na utratę zdrowia, a nawet i życia w teatrach warszawskich: Letnim i Małym, skutkiem tego, że dotąd jeszcze nie ukończono budowy schodów teatru Rozmaitości. Przed kilku dniami podczas mrozów kilkustopniowych na przedstawieniu „Czarodziejа z nad Nilu" artystki z obnażonemi piersiami i ramionami drżały, a artyści, chcąc się rozgrzać, tańczyli wtedy, gdy nie trzeba było. Najcudowniejszy czarodziej nie mógł im przynieść ciepła z nad Nilu. Wielu pracowników scen teatru Letniego i Małego dziś już przeziębło i ochrypło; gdy tak dalej trwać będzie, igraszka owa może ich życia pozbawić, a w najlepszym razie uniezdolnić na zawsze do pracy. Podobno tu nie ciąży bezpośrednio wina na gospodarzach teatrów, lecz na budowniczym, który z niebywałem lekceważeniem wziął się do budowy schodów w teatrze Rozmaitości i teraz, gdy jest sprawa najpilniejsza, wyjechał na kilka tygodni za granicę.

Odczyty przyrodnicze.

We czwartek rozpoczęły się odczyty przyrodnicze z doświadczeniami w sali Muzeum przemysłu i rolnictwa. W roku bieżącym ogółem wykładów będzie 12. Zagaił je p. Br. Znatowicz i w czterech prelekcyach da pojęcie słuchaczom o wodzie ze stanowiska chemii. Następnie zajmie katedrę p. Napoleon Milicer i wypowie rzecz o wodzie morskiej. Po nim będą mówili pp.: Stanisław Kramsztyk o wodzie w trzech stanach skupienia, Witold Wróblewski o oceanie, Józef Morozewicz o działaniu wody na ląd. Niewątpliwie woda jest bardzo ponętnym i bogatym przedmiotem, związana bowiem jest z wielu pięknemi zjawiskami przyrody i sama przez się stanowi potęgę i piękno. Ale może za dużo jej będzie dla słuchaczów przeciętnych. Wiemy, że to początek popularyzowania wiedzy przyrodniczej; ale tak obszerne traktowanie jednego działu może zniechęcić słuchaczów, nienawykłych do wytężania i skupiania uwagi. Należało przynajmniej dla urozmaicenia i zachęty przepleść wykłady innemi dziedzinami przyrody. Po za tą luźną uwagą odczyty niniejsze, ze względu na ich zadanie pożyteczne, witamy z wielkiem uznaniem i prawdziwą radością.

Przy sposobności pomówimy osobno o potrzebie wiedzy przyrodniczej dla naszego ogółu.

BADANIA NAUKOWE.

BIOLOGIA W SOCYOLOGII

Istnieje w socyologii kierunek, który moglibyśmy nazwać biologicznym, ponieważ dąży on do wyprowadzenia praw, rządzących rozwojem życia społecznego, z zasad, właściwych światu organicznemu. Przedstawiciele tej szkoły — jeśli można zbiór niezależnych nawzajem myślicieli ochrzcić tem mianem — uważają socyologię poniekąd za bardzo obszerny rozdział biologii, który zyskał samodzielność tylko dzięki obfitości materyału i istnieniu stosunków bardziej złożonych, acz w istocie identycznych. Zresztą nie wszyscy zachodzą tak daleko w swoich twierdzeniach. Są bowiem i tacy, którzy mniemają, iż socyologia stanowi i stanowić powinna naukę samoistną, ponieważ bada zjawiska, posiadające właściwy sobie charakter, ale jednocześnie dodają, że tylko nauki biologiczne mogą dostarczyć klucza do zrozumienia objawów, spotykanych w rozwoju życia gromadnego. Złudzenie to, pomimo wielu doznanych niepowodzeń, trzyma się jeszcze w nauce, choć coraz słabiej, i stopniem upadku jego możemy mierzyć poniekąd postęp głębszych zapatrywań na istotę więzi społecznej. Im bowiem pewna praca socyologiczna bywa obficiej uposażona we frazesy na temat związku pomiędzy socyologią a biologią, tem większą odznacza się powierzchownością wywodów. Instytut nauk społecznych w Brukselli, gdy w r. 1894 wypracowywał plan swoich poszukiwań, łudził się jeszcze wiarą w możliwy pożytek wprowadzenia terminów i pojęć biologicznych do społecznoznawstwa. „Instytut ten — czytamy w ogłoszonym planie — weźmie udział w pracach nowoczesnej szkoły socyologicznej, dążących do oznaczenia normalnych warunków bytu społeczeństw, oraz praw, które rządzą ich rozwojem. Postępy, dokonane w wieku obecnym przez nauki przyrodnicze, jeszcze nie wywarły należytego wpływu na te gałęzie wiedzy, które z nich powstały. My właśnie z tej strony oczekujemy rezultatów jak najwydajniejszych."

Praca zbiorowa Demoora, Massarta i Vanderveldego powstała pod wpływem wymienionej instytucyi. Zastrzega się ona zaraz na wstępie przeciw krańcowościom tych socyologów, którzy podobieństwo pomiędzy organizmem zwierzęcym a społeczeństwem posuwają po za wszelkie granice i w społeczeństwie widzą tylko pewien szczególnego rodzaju organizm. Wiedzą oni, że takie przesadne stosowanie biologii do nauk społecznych doznało zupełnego niepowodzenia. Nie zraził ich ten przykład, przypisują bowiem taki ujemny rezultat tylko temu, że poszukiwaniami zajmowali się przyrodnicy, mało obeznani z zagadnieniami socyologicznemi, albo socyologowie, posiadający niedokładne i powierzchowne pojęcie o zjawiskach, właściwych światu istot żyjących. Ażeby uniknąć takiego niebezpieczeństwa i wprowadzić do socyologii właściwe pojęcia, zaczerpnięte z biologii, stowarzyszyli się: biolog Demoor objął zoologię, Massart botanikę, wreszcie Vandervelde napisał część socyologiczną. Powstało w ten sposób dzieło, które ukazało się w międzynarodowej bibliotece naukowej pod nagłówkiem: „Rozwój uwsteczniający w biologii i socyologii" *).

Należałoby się spodziewać, iż książka, napisana w takich warunkach, powinna wnieść coś nowego do wiedzy. Nadzieje jednak okazały się płonnemi. Dzieło zbiorowo przedstawicieli trzech gałęzi wiedzy dowiodło tylko, że wszelkie przyczynki do powiązania socyologii z biologią wydają rezultaty bardzo nieznaczne.

Zatrzymajmy się nad treścią książki.

Autorowie nie uznają doktryny, że społeczeństwo jest tylko szczególnego rodzaju organizmem. Posuwają się oni nawet do tego, iż odrzucają porównywanie kolonij niższych stworzeń do społeczeństw: w pierwszych jednostki, w skład wchodzące, są spojone nawzajem węzłem fizyologicznym i pochodzą z tego samego pnia, agregaty społeczne zaś opierają się na spoidle psychicznem, tj. na podstawie zgoła odmiennej. Swoją drogą przyjmują oni istnienie pewnych analogij pomiędzy zjawiskami biologicznemi a socyologicznemi, analogij, które wypływają stąd, że w świecie organicznym i społecznym mamy do czynienia z przedmiotami podobieństwa i przystosowania. W biologii podobieństwo, istniejące pomiędzy okazami tego samego pnia, wynika z działania dziedziczności, różnice zaś indywidualne, spostrzegane wśród krewniaków, pozwalają gatunkowi przystosowywać się do nowych warunków. I więzie społeczne tworzą się jedne z drugich: nowe, tj. powstające dopiero, wzorują się na dawnych. Podobieństwo wypływa tu z naśladownictwa, przystosowanie zaś pochodzi z doskonalenia się stosunków, odbywającego się pod wpływem doświadczenia. Skutkiem tego organizm i społeczeństwo przedstawiają pewne rysy pokrewne, tem bardziej, że oba składają się z jednostek, różnice zaś są płodem odmienności spoidła je wiążącego — fizyologicznego dla organizmów, psychicznego dla agregatów społecznych.

Po tych uwagach wstępnych współpracownicy książki o uwstecznieniu przechodzą do przedstawienia analogij, które rzuciły się im w oczy podczas studyów nad ewolucyą. Metoda ich jest bardzo prosta i niezawikłana: po kolei rozbierają fakty uwstecznienia oraz objawy, towarzyszące takiemu zniżaniu się skali rozwoju organicznego w świecie kształtów zwierzęcych i ludzkich, dokonawszy zaś tego, wyszukują odpowiednich procesów w życiu gromadnem rodu ludzkiego. Rozpatrzymy te współrzędności w porządku, w jakim one występują w dziele trzech autorów.

Organy, właściwe pewnemu ustrojowi, rozwijając się, przybierają nowe, „postępowe" kształty, lecz jednocześnie dają one początek objawom uwstecznienia. Niektóre ich części ulegają zanikowi lub zmniejszają się, dawne zdolności słabną itd. To samo powtarza się w dziejach społeczeństw. Powstawanie nowych urządzeń i instytucyj wywołuje upadek dawnych: własność rodowa powstawała równolegle z rozkładem praw całego plemienia do ziemi, upada zaś, gdy zaczyna się tworzyć gmina; słowem, zawsze uwstecznienie idzie w parze z postępem i rozprzężenie prastarych urządzeń stanowi nieodzowne następstwo występowania nowych instytucyj.

Objawy tego rodzaju spostrzegamy nietylko w organach i instytucyach oddzielnych, ale także w organizmach i społeczeństwach. Każdy ustrój posiada organy, będące w stanie zaniku, i w każdem społeczeństwie istnieją przeżytki czasów ubiegłych bądź pod postacią urządzeń szczątkowych, bądź zwrotów mowy, symbolów, tekstów prawnych, ceremoniałów itd.

*) *L'évolution regressive en biologie et sociologie.* Paryż, u F. Alcana.

Demoor, Massart i Vandervelde z powyższych faktów wyprowadzają kilka wniosków o naturze rozwoju. Mniemają oni, że wiedza powinna wziąć rozbrat z dotychczasowymi zapatrywaniami na ewolucyę wsteczną: ta ostatnia jest nie objawem wyjątkowym, patalogicznym i nienormalnem, lecz przeciwnie stanowi konieczne uzupełnienie wszelkiego postępowego przeinaczania się, bez względu na to, czy dokonywającego się w organizmach lub w społeczeństwach. Ażeby postęp był możliwy, dawne organy i urządzenia muszą zniknąć, dokonywa się zaś to nie od jednego rozmachu. Chodzi tylko o to, w jaki sposób uwstecznianie, podobnież często jak postęp, bywa uskuteczniane. Istnieje powszechne mniemanie, że organy, które powstały najpóźniej, znikają najwcześniej, że zanik ogarnia następnie przymioty, które ukazały się bezpośrednio przedtem itd. Zwłaszcza często można spotkać takie poglądy wśród psychologów. Jednak to zdanie, pomimo że stało się jednym z utartych pewników w nauce, nie wytrzymuje nacisku ze strony faktów. Świat roślinny nie dostarcza ani jednego dowodu na rzecz tej tezy; co zaś do zwierząt, to rzeczywiście zwyrodnieniu ulegają naprzód przymioty ostatniej chwili, ale tylko dlatego, iż odznaczają się niestatecznością i stawiają najmniejszy opór. Społeczeństwo dostarcza jeszcze wymowniejszych dowodów przeciw twierdzeniu, że uwstecznienie polega na powrocie do dawnych stosunków i na przebywaniu tych samych faz, które zachodziły podczas ewolucyi postępowej, tylko w kierunku odwrotnym. W rzeczywistości zaś niepodobna odrobić tego, co zniknęło, ani cofnąć teraźniejszości do przeszłości: organ lub instytucya, które upadły, nie mogą powstać na nowo, nie powracają do spełniania dawnych czynności, ani nie mają sił rozwinąć się na nowo i wykonywać zadanie, które było im ongi obce.

Ostatnią część dzieła poświęcono rozbiorowi czynników rozwoju uwsteczniającego. Mamy tu więc litanię, bardzo powierzchowną, przyczyn tego objawu: braku pokarmu, nieużywania organów itd. Idzie po niej tak samo niegłęboki rozbiór kwestyi, dlaczego instytucye i organy nie zanikają zupełnie, ale pozostają i trwają w stanie szczątkowym, gdy stały się bezużytecznemi, lecz nie są jeszcze szkodliwe dla dalszego rozwoju.

Przytoczyliśmy zasadniczy wątek wywodów trzech uczonych belgijskich. Poprzestaliśmy na przytoczeniu uogólnień, które niekiedy podaliśmy w całej ich rozciągłości. Towarzyszą im fakty bardzo obfite, zwłaszcza gdy chodzi o zjawiska świata organicznego, bo co do objawów społecznych, są one nie tak dobrze dobrane i nie zawsze wymowne. Przeprowadzono analogie odznaczają się nieraz charakterem bardzo naciągniętym, czego zresztą można się było spodziewać wobec założeń, z których autorowie wyszli. Ostateczny rezultat poszukiwań uważamy raczej za ujemny, niż dodatni. Wprawdzie nie można powiedzieć, ażeby przeprowadzone analogie były z gruntu fałszywe. Owszem, niekiedy są one słuszne. Niema np. wątpliwości, że organy szczątkowe w życiu zwierząt i roślin przedstawiają sporo podobieństwa z przeżytkami. Ale współrzędność ta, dobra, gdy chodzi o ilustracyę pewnego określenia, nie jest znowu taką, ażeby uprawnić kogoś do twierdzenia, że nauki biologiczne powinny służyć za punkt wyjścia i podstawę dla socyologii. Badając rozwój więzi społecznej, możemy zupełnie nie uwzględnić organów szczątkowych, a przecież wybornie pojąć naturę przeżytków; co więcej, poznawszy dzieje szczątkowości organicznej, możemy posiadać jak najniewłaściwsze wyobrażenie o przeżytkach społecznych. Tak samo inne twierdzenie, że wszelkiemu postępowi organicznemu towarzyszy zanik, i przenoszenie tej zasady na społeczeństwo są zgoła słuszne, ale zarazem tak ogólnikowe, że nie dają żadnego pożytku. Słowem, gotowi jesteśmy przyznać, że możemy oświetlać zjawiska ze stanowiska biologicznego, jak to Demoor, Massart i Vandervelde zrobili, ale zarazem winniśmy zaznaczyć jałowość tego rodzaju poszukiwań. Mogą wieki upłynąć i my, gromadząc takie analogie, ani na krok nie posuniemy naszej wiedzy o istocie więzi społecznej i o prawach jej rozwoju.

Jeszcze kilka wyrazów na zakończenie. Wypowiadając nieprzychylne zdanie o rzekomym pożytku dla socyologów, płynącym ze stosowania zasad biologicznych do nauki społecznej, nie chcemy bynajmniej twierdzić; ażeby studya nad biologią, tj. zapoznanie się z ogólnymi wynikami tej gałęzi wiedzy, były bez żadnej korzyści. Przeciwnie. Taka znajomość przedmiotu, rozszerzając widnokręgi badacza i dostarczając mu szerszego, filozoficzniejszego wykształcenia, musi oddziałać dodatnio na wynik jego studyów. Ale jest to rzecz zgoła odmienna od przyrównywania zjawisk socyologicznych do biologicznych i tłomaczenia jednych za pomocą drugich.

L.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Marya Konopnicka: *Nowele*. Warszawa, 1897, str. 342. Nakład Gebethnera i Wolffa.

Ukazanie się książki podobnej w każdem innem piśmiennictwie byłoby niewątpliwie wypadkiem dnia, wywołałoby w prasie obszerne rozbiory, szczegółowe sprawozdania i zachwyty. Bo nowele Konopnickiej należą do tego dziwnego rodzaju literackiego, w którym często obrazek drobny zawiera w sobie bezbrzeżne morze tragizmu, do tego dziwnego rodzaju, który wtedy udaje się podobno, gdy wielki pisarz, władający po mistrzowsku piórem, posiada w duszy wrażliwej bezmiar współczucia dla niedoli ludzkiej, a zamiast martwego czernidła, używa do pisania gorącej krwi swego serca, zmieszanej z brylantami łez.

Nasza krytyka literacka przyjęła książkę Konopnickiej bez szczególnego entuzyazmu. Kilka wzmianek, kilka sprawozdań, nieodbiegających prawie od szablonu zwykłego i — cisza. Ale bo też większość krytyków naszych wybuchy uniesień zachowuje stale dla jednego bożyszcza, wszystkich innych pisarzy obdarzając oklepankami wytartemi lub niekiedy lepszem od nich — milczeniem. Dla niektórych wybrańców Arystarchowie nasi miewają, prócz tego, czasem w swych kołczanach zatrute strzały nienawiści, które wypuszczają też chętnie w stronę autorów młodych, o ile przewidują w nich czy przypuszczają niebezpiecznych na jakiemkolwiek polu współzawodników. Jest to zresztą jedna z tych historyj odwiecznych, które pozostaną zawsze nowemi.

Wogóle, gdyby ktoś zechciał z naiwnością dziecinną, na zasadzie ukazujących się dziś u nas wzmianek, sprawozdań i recenzyj o nowych utworach literackich wyrobić sobie pojęcie o obecnym stanie piśmiennictwa polskiego, wydałoby mu się ono zapewne jakąś rozległą a szarą, bardzo szarą płaszczyzną, z olbrzymią górą pośrodku, porośniętą gajem laurowym. Po chwili dopiero, wytężywszy wzrok i wpatrzywszy się lepiej w ową szarzyznę, dostrzegłby może na jej przygnębiającem tle kilkadziesiąt kopczyków drobnych, nieróżniących się prawie między sobą rozmiarami, kształtem, ani barwą i pogrążonych całkowicie w olbrzymim cieniu, roztaczanym dokoła przez górę uwawrzynioną.

A jednak, nie mówiąc już o pisarzach, tworzących od kilku dziesiątków lat i cieszących się wśród czytelników uznaniem zasłużonem, najnowsza literatura nasza posiada siły pierwszorzędne, którym zawdzięcza już długi szereg dzieł, pisanych z dużym talentem i niemałym zasobem indywidualizmu. Dosyć, dla poparcia tego, wymienić takie nazwiska, jak Stefana Żeromskiego, Wacława Sieroszewskiego (Sirko), Andrzeja Niemojewskiego, Wł. Reymonta, Kasprowicza, Tetmajera, Langego, Wierzbickiego; dosyć wreszcie przypomnieć twórczość Konopnickiej, wznoszącą się częstokroć na takie wyżyny, do jakich tylko zdolny jest wzlecieć duch ludzki na skrzydłach uczucia i artyzmu.

Z nowel, zawartych w ostatniej książce autorki, trzy pierwsze („Panna Florentyna," „Stacho Szafarczyk," „Krysta") sięgają może najdalej do głębi duszy ludzkiej i mimo pozornej prostoty użytych przez poetkę środków artystycznych, wywierają wrażenie potężne. Konopnicka nie ubiega się tu za osnową niezwykłą, nie szuka tematów nadzwyczajnych. Życie samo, to smutne, pełne bólów i nędz wszelakich życie ludzkie, dostarcza jej poddostatkiem zwyczajnych szarych nici, z których tka ona najchętniej niezrównaną przędzę swych utworów. Zdawałoby się, że trudno np. o mniej ponętną postać na bohaterkę utworu beletrystycznego, niż owa panna Florentyna z pierwszej noweli. Bo cóż obchodzić nas może jakaś niemłoda, nieładna, śmieszna i pretensyonalna szwaczka, wstydząca się swego położenia i zajęcia, udająca przed współlokatorami i stróżem wdowę po urzędniku i nauczycielkę? Co nas obchodzić może? Spróbujcie przeczytać nowelę.

Olbrzymie koło bytu, w swym odwiecznym, tajemniczym obrocie, spycha w ciemne otchłanie niedoli coraz to nowe jestestwa. Jedne z nich, po krótkich zapasach w bezskutecznym oporze, godzą się jakoś z losem, umieją przystosować się do niego, niekiedy nawet wśród otaczających ciemności odnajdują światełka przelotne i cieszą się niemi, jak dzieci. Inne, strącane w przepaść bezdenną, usiłują walczyć z druzgocącymi je zębami mistycznego koła, wydobywają się gwałtem na brzeg przepaści, aby w nią upaść znowu, i tak bez końca. Jest w tej nierównej walce jakaś fatalność straszna, nieubłagana, tkwi w niej tragizm istotny, choć go pokrywają niekiedy łachmany żebraka lub wytarta suknia śmiesznej, ubogiej szwaczki.

Taki właśnie niedostrzegalny, niewidoczny zrazu tragizm zawisł nad jednostajnem, bezbarwnem pozornie życiem panny Florentyny. W pierwszej chwili opowiadanie jej wywołuje na usta nasze uśmiech ironiczny; przeczytawszy stronic kilka, uczuwamy dla niej litość i współczucie; posunąwszy się jeszcze dalej, zrozumiemy i odczujemy w całej pełni wszystkie drgnienia tajemne tej biednej, upośledzonej duszy.

Panna Florentyna nie jest wcale szwaczką zwyczajną. Ojciec jej był przecież jakimś urzędnikiem, posyłał córkę na pensyę, matka pochodzi ze szlachty... Więc chociaż w biedzie, ale zawsze do „dobrego rodu" się liczą. Do wyższego! Dziś obie z matką cierpią nędzę straszną, ale panna Florentyna traktuje z góry otaczającą je na poddaszu, zamożniejszą od nich, ale „ciemną, ordynarną hołotę," uważając się i pragnąc uchodzić

za coś od niej nieskończenie wyższego. Na pół zdziecinniała staruszka nie podziela tych ambicyj niewczesnych, zawiera znajomość z sąsiadkami, „ordynarnemi babami,“ i nie ukrywa przed niemi położenia istotnego, co staje się źródłem ciągłych walk między matką a córką.

Z tym wstydem właśnie, z tą hańbą, wdzierającą się przez wszystkie szczeliny ubogich ścian ich izdebki, toczy do upadłego walkę nad siły biedna i śmieszna panna Florentyna. Aż wreszcie...

„Wchodzę ja, proszę pani, w kruchtę— opowiada — spojrzę jakoś znagła w bok, właśnie jakby mnie kto w tę stronę za włosy pociągnął, patrzę, siedzi matka między dziadówkami! Żem ja tam wtedy trupem nie padła, to nie wiem! To mi te nogi, proszę pani, tak skamieniały, tak w ziemię wrosły, że ani w tę stronę, ani w tę. Jak słup! Całe szczęście od Boga, że ludzie gęsto szli i jakoś mnie sobą do kościoła wepchnęli. To mnie tak ta fala przez kościół niosła, jak woda... Tu organ huczy, tu światło, jak na rezurekcyi, a ja tylko oczy przymykam, a we mnie krzyk: „Góry, pagórki, nakryjcie mnie! Góry, pagórki, nakryjcie!“ Jak w tej pieśni, proszę pani, o sądzie ostatecznym...“

Obok wielu szczegółów subtelnych, jest w tem opowiadaniu jedna struna, potęgująca jeszcze dramatyczność położenia, mianowicie miłość gorąca, odczuwana przez córkę dla matki, sprowadzającej na jej głowę hańbę, w jej pojęciu, największą. Od niektórych scen, jak np. z żebraczką na kuli u drzwi domnej szwaczki, mającą wprowadzić do jej izby wstyd i hańbę ostateczną, bije jakaś siła potężna, jakaś groza wstrząsająca, a w noweli całej, obok targającej za serce ironii, uderza przedewszystkiem głęboka znajomość najskrytszych tajników duszy ludzkiej, znajomość, z jaką w tym stopniu u Konopnickiej nawet nie zawsze spotkać się można.

Niemniej motywów dramatycznych zawierają dwie następne nowele. Czternastoletniemu Stachowi („Stacho Szafarczyk“) umierający ojciec zapowiedział z łoża śmiertelnego, aby się z ojcowizny „wyłuskać“ nie dał. Przejąwszy się ostatniem poleceniem rodzica, podrażniony gadaniną kumoszek, które w chałupie, „ba, nim tatuś na piękne oczy zamknął,“ zaczęły przemawiać do młodej jeszcze i powabnej wdowy, „że to nigdy żałości bez pociechy nie ma być, a gospodarstwo, choć na pięci morgach bez gospodarza nie obstanie długo,“ postanowił nie dopuścić do chaty ojcowskiej obcego człowieka. Nie przerażała go praca nadmierna, przechodząca jego siły chłopięce. Gnało go do niej umiłowanie do odziedziczonego zagonu, obawa przed ojczymem nieznanym i bezwiedna zazdrość o serce matczyne. Więc to jedno stało mu się jasno, że jak tam będzie, to będzie, a on w gospodarstwie wszystkiemu poradzić musi. „Piętnaście roków duchem skończy, mocny jest, robota mu nie cudo, a co cięższa, to już na jesień zeszła. Teraz, jak ciepła uderzą, to głównie kartofle... Jakby kartoflom nie poradził, to chrzestnemu się pokłoni, żeby z pół dnia pomógł, a parobka do chałupy nie puści. Ścisnął pięście, aż w nich mu trzasło.“

I zaczął się szereg wysiłków tytanicznych, podjętych dobrowolnie przez pacholę, walczące w obronie swych praw najświętszych. Stacho rwał się do pracy gorączkowo, pracował nad siły, byle tylko utrzymać zajęte w chacie stanowisko, byle tylko matka nie sprowadziła do niej parobka. Ale matka kochała syna po swojemu, a jednocześnie ogarniał ją niepokój, jak, wobec jego sił dziecinnych, gospodarce bez chłopa da radę, a przytem po pewnym czasie i inne instynkty budzić się w niej zaczęły. Pod ich wpływem przyszła do wniosku, że „ten stan wdowieński, choć go proboszcz chwali, dobry na miesiąc, na dwa, a na dłużej to się przykrzy, jak ta niesolona strawa.“ Więc coraz częściej kiwała głową na robotę dziecka, i coraz częściej zawodziła głośno, opłakując swe sieroctwo i opuszczenie. A Stacha trawił ogień wewnętrzny; podejmował on wysiłki nadludzkie w celu ocalenia placówki, skazanej z góry na zatracenie. Kilkunastoletni dzieciak znalazł się odrazu w zaczarowanem kole, z którego jedynem wyjściem mogła być tylko mogiła.

Po mistrzowsku odtworzone zostało w noweli całe to borykanie się chłopca z przerastającą jego siły, niezwalczoną, nieubłaganą koniecznością, która go przygnieść musiała swym strasznym, przerażającym ciężarem. Pojedyncze sceny, zacząwszy od powrotu z cmentarza i pierwszych wysiłków dziecka w sieczkarni — młocka w stodole i nierówno współzawodnictwo z urlopnikiem Chrząstem, pierwszym, nienawistnym Stachowi, kandydatem na parobka, a zapewne i na męża w przyszłości dla młodej wdowy po Szafarzu, i wszystkie sceny następne, aż do tej ostatniej na żytnim zagonie, gdzie młody żeniec złożył zbolałą głowinę, a z ust pociekła mu cienkiem pasmem krew jasna, pionista — są w swoim rodzaju małemi arcydziełami, zadziwiają prostotą i prawdą, czarują jakąś melancholią niezmierną, która się nad niemi unosi. Nowela cała wywiera chwilami wrażenie jakiegoś poematu cudnego, taka w niej głębia uczucia, tyle ustępów przepięknych. A niezależnie od tego po mistrzowsku również przeprowadzona została psychologia pojedyńczych postaci. Jak trafnie np. podkreśla autorka w charakterze Stacha ów rys naśladownictwa ojca, albo tę wzruszającą pokorę chłopca, z którą do kolan się schylał i zdawał się dziękować za to, że mu wolno ciężar nad siły dźwignąć i próbować, czy się pod nim nie złamie.

Mamy jeszcze w noweli kilka dobrych sylwetek wiejskich. A dalej uderza w niej subtelne odczucie przyrody. Na początku samym kilku szerokimi rysami maluje poetka przepyszny obraz mglistego, zimnego dnia jesiennego; potem znów cisza boru nasuwa jej kilka uwag i spostrzeżeń, równie głębokich, jak pięknych. Zaledwie oprzeć się można chęci przytoczenia wielu ustępów.

„Stacho Szafarczyk“ pozostanie na zawsze jedną z najwspanialszych perel nowelistyki polskiej, jest dziełem pięknem, wzruszającem, głębokiem. A jednak pod pewnymi względami wyżej jeszcze, o ile to jest wogóle możliwe, postawiłbym od niego przepiękną i przesmutną „Krystę,“ gdzie jeszcze więcej widzę chwytającej za serce prawdy i prostoty i więcej rozdzierającego duszę smutku. Motyw jest znowu nader prosty. Ale ten wstrząsający obraz młodej wieśniaczki, która, nie dochowawszy wiary ukochanemu „Jantochnie,“ wziętemu wkrótce po ślubie do wojska, okupuje, po powrocie męża, chwilowy błąd względem niego śmiercią dobrowolną w wezbranych nurtach rzeki — przemawia do wyobraźni i uczucia z taką potęgą niezmordowaną, że zdaje się, iż w szczupłe ramy tej noweli wlała poetka jakieś olbrzymie morze artyzmu, przed którem krytykowi pozostaje tylko skłonić głowę z wyrazem podziwu i zachwytu. Takich rzeczy streszczać niepodobna. Chcąc zrozumieć i odczuć piękność ich całą, trzeba je czytać samemu, bo tam każdy szczegół zasługuje na uwagę, jeden ustęp od drugiego ważniejszym i piękniejszym się wydaje. Więc tylko wyjątek jeden, chociażby dla ilustracyi słów naszych.

Krysta wydała na świat dziecko, którego ojcem nie jest jej Antek. Od męża nie miała wiadomości oddawna, wszyscy twierdzą, że umarł na pewno, więc nieszczęśliwa kobieta, chcąc nieco uspokoić wyrzuty sumienia i ból głęboki, zwlókłszy się po chorobie z posłania, idzie przedewszystkiem w Zaduszki do wsi kościelnej dać na mszę za jego duszę. Idzie z rozpaczą w sercu, a od pól nagich, obumierających, bije na nią ciemne poczucie zagłady wszystkiego, co było jasne, kwitnące i żywe.

„Chybaż to już — myśli — po ziemi chodzi taka moc... Taka ślepa, ślepa moc... Ślepa taka i stara taka... Gdzie starsza od wsi całej i od wszystkich ludzi! Co sobie ziemia kwiatuszków naplemi, co sobie radości podhoduje, co gniazd naściele, to ta moc wszyściutko zdusi...

I co sobie ludzkie serce dobra i wesela nasieje, co zakwitnie kochaniem, jak ta płonka kwiatem, zaraz ona się zamachnie i zdusi. Taka moc jest! Taka ślepa moc!“

A w kilka chwil potem dowiaduje się, że Antek jej żyje i wraca, że na zachód słońca nadejdzie już do wsi, do chaty, i dowie się, że go nie czekała wiernie — on, ukochany, jedyny! Myśl o konieczności śmierci zabłysła odrazu w jej głowie, ale przedtem jeszcze Krysta pójdzie na Antka spotkanie, pójdzie daleko, raz jeszcze go zobaczy, raz jeszcze przytuli się do niego, zanim jej hańba i sromota na jaw wyjdzie...

„Niechże co chce będzie! Niech się co chce dzieje! Niechże on choć jedną godzinę dobrą ma! Niechże on choć raz, choć raziczek dobrem sercem przytuli ją do siebie! Niechże on choć przez tyle, co ten jeden pacierz, rad i szczęśliw będzie, że się do dom wrócił!.. Niechże on, chudziak, choć ździebło radości ma!.. Niechże mu się powróci wierność i kochanie!.. Niechże mu jeszcze ten świat zapachnie kwiatem!.. Aby raz... Aby raziczek jeszcze!..“

Tej cichej tragedyi, rozgrywającej się w prostej, kochającej i nieszczęśliwej duszy, niepodobna prawie czytać, bez gorącej łzy współczucia, które pozostanie zawsze najlepszą nagrodą poety.

Tego głębokiego skupienia, tej dramatyczności wewnętrznej, która tak wzrusza w trzech pierwszych nowelach, nie mają już w takim stopniu inne utwory zbioru. Lecz dwa z nich tylko („Niemczaki“ i „Maryanna w Brazylii“) na pogodniejszą nastrojone zostały nutę, dochodzącą w opowiadaniu o przygodach Maryanny w podróży na drugą półkulę do pełnych humoru i szczerej wesołości akcentów. Dużo barw posępnych, lecz prawdziwych, nagromadziła wielka poetka i obserwatorka społeczna w trzech smutnych obrazkach więziennych („Podług księgi,“ „Jeszcze jeden numer,“ „Onufer“). W zbiorze całym jedna tylko nowela p. t. „Z włamaniem,“ wydaje mi się nieco sztuczną w pomyśle, co zresztą okupuje w niej wyborna sylwetka obłończy.

Władysław Bukowiński.

NOTATKA JUBILEUSZOWA.

Petersburg 15 listopada.

Dwudziesty piąty rok mija od wyjścia dzieła Szczedryna p. t. „Dziennik obywatela z prowincyi w epoce pobytu w Petersburgu.“ Nie jest to najznakomitsze z dzieł wielkiego satyryka, ale należy ono do szeregu najbardziej wybitnych. Używa on tutaj tej samej oryginalnej metody ośmieszania, którą następnie doprowadził do artyzmu w „Schronienia Monrepo“ i w „Idylli współczesnej.“ Stwarzając karykatury prawomyślności, doprowadzając *ad absurdum* istniejące zawady na drodze postępu, chłoszcze on niemiłosiernie i zjadliwie tchórzostwo myśli, niemoc czynu, nikczemność ducha. Atmosfera jego dzieł jest atmosferą nie-

przerwanej paniki. Bohaterzy jego, myśląc o najniewinniejszych przedmiotach, jeszcze oglądają się z trwogą, czy kto nie podsłuchuje ich myśli. Niektórzy dochodzą wprost do samobiczowania, badają siebie bez ustanku, drżąc, iż może odstąpili na ćwierć milimetra od uznanego porządku myślenia i czucia. W szeregu zbrodniarzy postawił Szczedryn zupełnie nowy typ, o którym Lombroso zapewne nigdy nie słyszał: „współczujący" (soczustwowatiel). „Stanowawo pristawa" przeniósł on w całej jego potędze w głąb sumienia ludzkiego, albo naodwrót sumienie ludzkie umieścił nazewnątrz człowieka, w wszechwidzącym „stanowom pristawie." Wewnętrzne walki przedstawiciela stęchlizny z widmami pseudo-liberalnej myśli, noszącej w jego oczach piętno kompromitujące, ustawiczną grozę sumienia, badającego się przez lupę prawomyślności, Szczedryn przełożył na język najkomiczniejszej tragedyi. Obok tych prawomyślnych troglodytów postawił on niemniej komiczny typ „śmiałych" reformatorów, „liberałów," którzy w gruncie rzeczy zupełnie są podobni do tamtych. Są to znowu karykatury mniemanych reformatorów, ośmieszające toż samo niedołęztwo myśli, tę samą stęchliznę, maskującą się fałszywie mianem postępu. Oto np. jeden z „Pompadurów," administrator, który „ukończył kurs nauk w restauracyi Dusso i w zakładzie wód mineralnych"; rozpoczyna on swój „administracyjny bieg" od następującej proklamacyi: „Uczuwając na każdym kroku grozę przed środkami, skierowanymi po największej części przeciwko najniewinniejszym przedsięwzięciom natury ludzkiej, społeczeństwo straciło wiarę w swoje twórcze siły i schyliło głowę pod jarzmem haniebnej obojętności względem własnych interesów. Dlatego też i mając na celu podniesienie ducha narodowego, uważam za konieczne publicznie ogłosić: 1) że zajmowanie się paleniem tytoniu dozwolonem jest wszędzie z następującymi wyjątkami (następuje 81 wyjątków); 2) że wybór kroju odzieży pozostawia się dowolnemu wyborowi każdego, z tem jednak ograniczeniem, iż pojawianie się na ulicach i w miejscach publicznych zabaw w obnażonym stanie zabrania się w dalszym ciągu i 3) że prześladowanie za noszenie brody i długich włosów usuwa się, skutkiem czego wszystkie rozpoczęte w tym przedmiocie sprawy zostają umorzone, z wyjątkiem tylko następujących (38 wyjątków)."

Obywatel z prowincyi, wymieniony na wstępie niniejszego artykułu, przybywa do Petersburga w pierwszych latach po wejściu w życie reform Aleksandra II. Opowiada on w swoim dzienniku o zetknięciu się z przedstawicielami wszystkich sfer i klas stolicy. Przy tej sposobności Szczedryn z głębokim zmysłem psychologicznym maluje powierzchowne odbicie się reform na byłych „kriepostnikach"; wykazuje on, że wszędzie pod nową formą żyje jeszcze stary duch. W sferach urzędniczych i obywatelskich istnieje zorganizowany prąd, przeciwny reformom, zamaskowany posłuszeństwem względem faktów dokonanych. Oto próbka rozpraw „wyższego towarzystwa": „Fakt (uwłaszczenie chłopów) został dokonany. Widzieliśmy wszyscy, jak się spełniał i serca nasze drgały zachwytem, można rzec świętem skupieniem. Obecnie zapytujemy: czy fakty powinny się powtarzać bezgranicznie? — i pozwalamy sobie myśleć, że gdyby w jednym rzędzie z dokonanym faktem postawione było błogosławione *tiré*, to serca nasze napełniłyby się jeszcze wspanialszą wdzięcznością. Dziękowaliśmy za fakt, ale rozumie się, że będziemy nie mniej dziękowali za *tiré*, albowiem prawo dziękowania jest najlepsze i najgłówniejsze z praw, jakie posiadamy. Fakt spełniony — to mądrość. *Tiré* — to więcej niż mądrość. To mądrość w mądrości! Wszędzie i zawsze panuje jedno prawo: postęp — to mądrość gwałtowna, unosząca za sobą historyę; *tiré* — to mądrość, oglądająca się po za siebie, kująca historyę u nie tłucząca jej na proch!" Zostawiając nową epokę — która stworzyła nowe formy, ale nie zdążyła jeszcze urobić dla nich ani nowego ducha, ani nowych zasad i wywołała dziwne rozpasanie — z epoką minioną, Szczedryn z ogromną zręcznością pisze satyryczny panegiryk na cześć przeszłości. Jego obywatel z prowincyi wspomina swego dziadka, dla którego wszystkie dziewki folwarczne podrygiwały w tanach ku zadowoleniu jedynego widza — swojego pana, podczas gdy po reformie teatralna szansonistka podnosi nóżki na uciechę wnuków, składających się na lożę po rublu od gęby (po rubliu s ryła). Podpitego dziadka podsadzali hajdukowie do karety i wieźli w powrocie z miasta do karczmy przydrożnej, gdzie czekała nań zawczasu przygotowana pierzyna. Wnuk także spija się, ale upadającego na bruk podnosi dopiero „kwartalnyj nadziratiel" i daje mu schronienie u siebie.

Powiadają, że Szczedryn nie wiedział, czego chciał, że jednakowo napadał na postępowców i konserwatystów, że smagał wszelkie partye, że nie posiadał wyraźnych zasad. To niesłusznie. Spełniał on swoje wielkie zadanie satyryka. Nie był człowiekiem stronnictwa. Wyszydzał zło wszędzie, gdzie je widział. Drży w nim jedna struna nader głęboka, która zapewnia jego dziełom niezmierną żywotność. Nie dość, że rozważał swój czas, że znał wybornie swój naród; on pojmował człowieka, pojmował zło ogólno-ludzkie, wszystkich epok i narodów. Pod jego niezadowoleniem z chwili drży bolesna nuta niezadowolenia z życia. Pesymizm jego jest owocem rozpaczy myśliciela, a nie szermierza czasu. Spotykają się u niego karty, pełne goryczy beznadziejnej (por. w „Taszkientcach" ustęp o butelce niewinności). Nie dziw, że nie stawiał programu. Opadały mu ręce. W złej zmiennej formie dostrzegał wyraz wiecznego zła. Po za złą instytucyą widział niegodziwego człowieka. Wiedział, że Tersytes urodził się nie wczoraj, że towarzyszył wszelkim formom społecznym. Odgadywał jego potomków w kolebce. Rosya ma prawo chlubić się, że wydała takiego satyryka. Nie ustąpi on Arystofanesowi. Jest podobny w tem do Swifta, że jak tamten, malując zdrożności swojego czasu, prześcigał go i tworzył typy ogólne, które zachowają żywotność jeszcze na długo, na bardzo długo. Jest przytem nawskróś narodowym, bo w głębokiej znajomości swego narodu czerpie wszystkie soki talentu. Ma on niewątpliwie swoje wady i dość znaczne (na ich rozbiór granice niniejszego artykułu nie zezwalają), ale niewątpliwem jest, iż Rosya nie miała i nie prędko mieć będzie satyryka równej siły.

Są tacy, co gwałtem starają się dowieść, że Szczedryn już się przeżył, że dzieła jego umarły wraz z epoką, którą malował, że najwyżej posiada on wartość historyczną. Jest to kłamstwo umyślne. Ja sądzę przeciwnie, że czas sprawiedliwej oceny dla Szczedryna jeszcze nie nadszedł. Dotknął on stron, których zgrzytliwy dźwięk brzmi jeszcze i ucichnie nieprędko. Dlatego właśnie starają się schować go w archiwum. Jego wzrok ostrowidza, znającego wady współziomków, prześladować będzie jeszcze długie pokolenia. Poczya jego głębokiego pesymizmu będzie odczutą dopiero później. Dziś nawet jego waga historyczna nie doczekała się uznania szerszego. Literatura szkolna nie wie o nim. Młodzież uczy się poznawać ciemne strony epoki „kriepostniczestwa" jedynie w dziele Gogola „Martwe dusze." Ale dobroduszny Gogol wystrzegał się barw jaskrawych. Może kiedyś całą grozę epoki wychowawca tłomaczyć będzie uczniowi z pomocą najartystyczniejszego z dzieł Szczedryna: „Gaspada Gołowliowy."

Jakie potwory moralne wytwarzał miniony porządek, pouczy namalowany po Szekspirowsku w tem dziele typ „Juduszki," pouczy wyraźniej, niż wszystkie Maniłowy i Sobakiewicze Gogola. A czas taki nadejść musi. Przecie i Gogol długo znajdował się za rogatką.

Tak jest! Szczedryn doczeka się oceny sprawiedliwej. „Pompadury i pompadurszy," „Historia goroda Głupowa" będą służyły za nieprzebrane bogaty materyał do cytat, za jaskrawy i charakterystyczny komentarz do czasów minionych i bieżących. Ocenione będą „odkrycia" Szczedryna w rodzaju odkrycia „departamentu przeszkód i zapór." Uznaną będzie słuszność jego wskazówek, że „do pisania artykułów politycznych nie potrzeba natchnienia; dość napluć na pióro." Doczeka się uznania jego plan dorobienia do każdego prywatnego mieszkania „dwóch kluczów, z których jeden znajdować się winien w kieszeni właściciela mieszkania, a drugi — w cyrkule." Ocenioną będzie wartość wskazanych przezeń „umiarkowanych i stopniowych środków uśmierzania niespokojnej ludności," naprzód za pomocą surowego spojrzenia, pod którem kolana obywatelskie winny się uginać, za pomocą mowy krótkiej, urywanej, wzroku, obiecującego rozporządzenia dalsze, potem dopiero za pomocą wyrywania z tłumu dwóch albo trzech ludzi, i po uznaniu ich za „znajdujących się na prawach podejrzanych" i zamianowaniu w tej randze rozprawienia się z niemi w przyzwoitem oddaleniu: „albowiem — jak zauważa satyryk — gdyby ktoś odrazu zaczął walić z armat, to mógłby usunąć całą ludność i zostać na ruinach, jak starożytny Maryusz, sam jeden ze swoim „pismowoditielem" (sekretarzem).

Oto cytata z „Dziennika prowincyonalisty w Petersburgu" (str. 152):

„Istnieje przekonanie, że dobra życiowe nie zdobywają się inaczej, jak tylko drogami, okrążającemi prosty gościniec (okolnymi putiami). To też ludzie rozsądni nawołują ludzi mniej rozsądnych słowami: Strzeżcie się! Poczekajcie! Nadejdzie czas, kiedy i wasz groszak stanie się złotówką! Nie mam nic przeciwko podobnym ostrzeżeniom wogólności, a osobliwie przeciwko samoistnemu przeistaczaniu się groszaka na złotówkę. Niech się przeistacza — dla mnie to wszystko jedno, zwłaszcza że ja i na złotówkę nie patrzę, jak na osobliwie cenną monetę! Ale twierdzę — i mam do tego prawo — że w uogólnieniu niewygód, braków i ograniczeń nietylko ścieżek, ale wogóle niema żadnej drogi. Gdyby ktoś za pomocą samobójstwa zapragnął dowodzić swego prawa do życia — czyliż wieleby dowiódł? Dowiódłby tylko, że był na świecie biedak, który nie znalazł innego wyjścia z zawikłań życiowych, prócz najprostszego: śmierci. Najwyżej jest to protest osobisty — i nie więcej. Znaczenie ogólne (zresztą nader drobne) mógłby ten protest posiadać tylko wówczas, gdyby odnalazł on dla siebie jakiś wyraz jaskrawy i obrazowy, tj. gdyby wszystkie przyczyny, które wywołały ów akt samobójstwa, mogły być zbadane i skonstatowane. Ale wyobraźcie sobie, że w największej ilości wypadków protesty tego rodzaju sprowadzają się do „znalezionego na brzegu rzeki Priażki ciała niewiadomego człowieka!" Jakie straszne fiasco! „Ciało niewiadomego człowieka!" — i to ma być protest! Cóż w nim jest pouczającego? I jakiż praktyczny rezultat osiąga się na *podobnych* manowcach?

„Lecz stronnicy podkopu i skrytych my-

śli (zadnich myśli) idą dalej jeszcze i twierdzą, że tu mowa jest nietylko o manowcach, ale i o zbliżeniu. Wyrzeczenie się przywilejów, twierdzą oni, znamionuje wzniosłość ducha, a wzniosłość ducha z kolei dopomaga do zapomnienia starych rachunków i doprowadza do ugody. A oto, panie dobrodzieju, kiedy już zbliżymy się... Ależ, niestety, toć że i to nie więcej, jak manowiec i do tego tak daleki od bitego gościńca, że można po nim stąpać do nieskończoności i ciągle tylko chodzić, a nigdy nie dojść.

Nie chcę rzec bynajmniej, że ludzkość, chociażby stała na najniższym stopniu rozwoju, niezdolną jest ocenić zrobionych przez kogoś ofiar. Nie, one przyjmują się ze współczuciem, ale tylko wówczas, gdy noszą charakter pozytywny, a nie negatywny."

Wyjaśniwszy zasadniczą różnicę pomiędzy ofiarą *pozytywną*, tj. czynnym podziałem z kimkolwiek skarbów kultury, wiedzy itp. a ofiarą negatywną, tj. wyrzeczeniem się, Szczedryn tak dalej ciągnie:

„Wyobraźcie sobie jednak, że ja potrafię tylko układać wielki pasyans, a ów brak umysłowych bogactw chcę zastąpić tem, że dobrowolnie przyjmuję na siebie opłatę dziesięciokopiejkówki po nad zwykłą podatkową normę! Wyobraźcie sobie, że do jednego biedaka (nieszczastliwca) przychodzi drugi i pociesza go, mówiąc: Nieszczęśliwy człecze, spojrz, nieszczęście moje równa się twojemu! Czyliż to będzie jakąś ofiarą? A jeżeli nią będzie, to jakąż ono przyniesie pociechę?

Niestety, będzie to pociecha mikroskopijna, a być może nawet, pociecha nader nikczemnej wartości. Pocieszać się ogólną równością wobec nieszczęścia można tylko wówczas, gdy się działa pod wpływem zgorączkowania; ci zaś, którzy w podobnych pocieszeniach znajdują zadowolenie, są najwidoczniej ludźmi złymi i zepsutymi, a co najmniej ludźmi nie dość mądrymi, aby umieli odróżniać ulgi mniemane od ulg realnych.

Ale w wypadku, o którym mowa, nawet i tej kiepskiej pociechy być nie może. Napróżno będziemy oczekiwali zapomnienia i zbliżenia się: ostre spojrzenie nieszczęśliwca istotnego zdoła subtelnie odgadnąć nieszczęśliwca mniemanego. On przejrzy wszystko do najostatniejszego drobiazgu, do ostatniej ukrytej kopiejki, a w owej robocie śledczej dojdzie do odkrycia takich szczegółów, których w istocie nawet nie będzie! Zwykłą prostotę ducha podniesie on do stopnia drażnienia umyślnego; w tak zwanym naporze fali uczuciowej dostrzeże on system, obmyślany na bardzo daleką metę. A kiedy ludzie wstępują na ciemną drogę podejrzeń, to już niczego dobrego nie można się spodziewać od nich. Na miejscu dawnej rozterki historycznej, którą chciano usunąć, a do której bądź co bądź oko już się przyzwyczaiło, pojawi się rozterka nowa, jeszcze mniej możliwa do załagodzenia, bo w zasadzie jej upatrzą, przypuśćmy niesłusznie, ale *na pewno:* rozmysł i oszukaństwo..."

Leo-Belmont.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

FILOZOGIA. Pierwszy zeszyt kwartalnika „Przegląd filozoficzny" wyszedł z druku.

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH w t. 5 ym wydała „Psychologię rozwoju narodów" Gustawa Le Bona w tłom. J. Ochorowicza.

OBRAZ LITERATURY POLSKIEJ w streszczeniach i celniejszych wyjątkach. Pod tym tytułem i redakcyą P. Chmielowskiego księgarnia Gebethnera i Wolffa zaczęła wydawnictwo zeszytowe.

POWIEŚCI. F. Trąmpczyński: „Ukojenie," powieść współczesna (295 str.). Centnerszwer.

MALARSTWO. W. br. Łoś: „Z pracowni naszych mistrzów," wyd. II (200 str.). Sennewald.

WIEDZA. F. Piotrowski: „Jak mierzymy czas?" (54 str.).

— P. v. Reussner: „Elementarz polski," część I, wyd IX.

SPRAWY EKONOMICZNE.

WYSTAWA PRACY KOBIET.

II.

Pobieżne, a następnie szczegółowe przejrzenie wystawy daje jedno wrażenie: malowanie, inkrustacya i hafty. To są rodzaje pracy kobiecej, w znacznej większości służące do rozrywki lub zabicia czasu tych „pracownic," których spora część walczy z nudami. Naliczyśmy kilka szkół „malarstwa, zastosowanego do przemysłu" dla kobiet, i kilkadziesiąt wystawczyń, które się popisały robotami artystycznemi. Uderza jeszcze jeden szczegół znamienny. Te amatorki, które, jak nam się zdaje, mają byt zapewniony i dużo czasu, wyrabiają wyłącznie przedmioty zbytku. Ich „pracownie"— to salony i buduary. W szersze i istotne potrzeby życia nie wnikają one, bo i nie mają po co wnikać; więc ich wytwory przeznaczone są... do salonów i buduarów, no, i do sypialni, oraz pokojów stołowych. Zresztą dziwne byłyby moje roszczenia, gdybym żądał od tej kategoryi kobiet — wyrobów, zaspakajających istotne i niezbędne potrzeby mas szerokich.

Bądź co bądź są tam rzeczy bardzo ładne, wykwintne, odznaczające się wielkim smakiem i poczuciem artystycznem. Na uwagę zasługują między innemi przedmioty, wykonane w stylu zakopańskim, jak stolik i zydle p. Tokarzewskiej; stoliki i zydle wypalane i emaliowane p. Alicyi Nowińskiej. Dalej wyroby wypalane i emaliowane na drzewie p. Jadwigi Krysińskiej (teczki do książek i fotografij, półeczki na ścianę, „panneaux" (!) z wyobrażeniami flory zakopańskiej, szkatułki, parawan, teczka z portretem Asnyka i wypalonym jego wierszem). Między okazami szkoły p. Poświkowej godne są uwagi krzesła i stół z malowaniami okolic tatrzańskich (naśladowanie wypalania), oraz szafka rogowa w stylu starożytnym. Niezwykłą jest mozaika drzewna (pp. Starża i Leszczyńska). Są to przedmioty wielkiego zbytku. Stoliki i biurka taką mozaiką kryte, mogą się znaleźć tylko w nielicznych salonach i gabinetach ludzi zamożnych, sama zaś robota wymaga cierpliwości, czasu i... niezależności ekonomicznej.

Sztuka stosowana, jak rzekliśmy, zajęła wybitne miejsce i rozproszyła się po całej wystawie. Malowania na szkle i porcelanie mniej lub więcej banalne, ale staranne, brak pomysłu i oryginalności przeważa. Rzadko można znaleźć obrazki, przykuwające oko. Parawaników i ekranów mnóstwo, a na nich przeważnie kwiaty i ptactwo. Tu, jak i na wielu innych przedmiotach, połączono bardzo zgodnie haft z malowidłem. Ale nie wiadomo, co tutaj podziwiać: czy współzawodnictwo tych dwu rodzajów sztuki, czy też cierpliwość i miejscami poczucie artystyczne w wykonaniu. Wogóle przeważają kwiaty, czy to na stolikach, czy ekranach i parawanach. Haft z malarstwem w sztuce stosowanej tak się łączą ściśle, że w wielu obrazach i grupach (oczywiście grupach ułożonych przez widza, gdyż ich niema na wystawie) niepodobna ściśle oddzielić tych dwu rodzajów ozdoby artystycznej). Haft udaje malowidło i odwrotnie. To udawanie ma być najwyższą wartością sztuki. Można podziwiać obrazki haftowane, jako pracę, mniej jako sztukę. To samo i z malarstwem, wkraczającem w dziedzinę haftu. Zwracają uwagę malowania p. Wiesiołowskiej gwaszem na najcieńszej gazie, jako *sztuczka*, nie sztuka. Tak samo podziwiamy skrzypków, grających na głowie lub plecach, ale bynajmniej nie zachwycamy się wykonanymi taktami „Karnawału weneckiego" lub „Dzwonów Kornewilskich."

Haft zajmuje wybitne miejsce na wystawie, jako dział (rozproszony) osobny i daje możność podziwiania wielkiej cierpliwości kobiet. Są tam rzeczy niezwykle piękne, wykonane oczywiście przez damy zamożne. Wyroby te podobno mają służyć za wzór dla pracownic ubogich, zarobkujących, celem rozwinięcia śród nich smaku artystycznego... za pośrednictwem wystawy! Nie wiem doprawdy, czy znajdą się takie, któreby mogły naśladować i oddać się pracy tego rodzaju. Przedmioty te wymagają wiele czasu i kosztów, liczyć zaś mogą zaledwie na garstkę małą odbiorców zamożnych, którzy nie zapewnią im bytu. Dział ten pozostanie więc i nadal jako praca zamożnych amatorek.

Bardzo dużo dostarczono przedmiotów haftowanych do użytku kościelnego (ornaty, stuły, manipularze, przykrycia na kielichy, słupy do ornatu, wszystko złotem i jedwabiem haftowane). Godne uwagi są ekrany haftowane, szczególnie jeden obrazek wschodni, na którym świetnie odtworzono wyraz twarzy. Piękne są również i nawet nieszablonowe poduszki na kanwie, ściegiem gobelinowym i haftowane na pluszu (p. M. Fiorentini).

Obok ręcznego staje groźny współzawodnik, haft maszynowy, który na wystawie jest reprezentowany przez p. Rembowską. Tego rodzaju wytwórczość, przystępna dla spożywców szerokich mas, mniej wybrednych pod względem artystycznym, niewątpliwie z czasem pobije pracę domową. Pozostanie tylko najwykwintniejsza i najkosztowniejsza robota dam zamożnych, które, jak i dzisiaj, będą pracowały dla siebie i kościołów.

Haftem bardzo starannym zajmują się także niektóre zakłady przemysłowo-rękodzielnicze i filantropijne. Między innemi na uwagę zasługuje wystawa robót i robótek zakładu poprawy kobiet („Najświętszej Maryi Panny"). Utrzymuje on 89 pensyonarek, które uprawiają tam różne gałęzie rzemiosł. Podziw wzbudzają śliczne wykonane hafty złote i koronki. Z innych wyrobów są plecionki, tkaniny, przędza, bielizna, roboty włóczkowe itd. Sprzedaż tych przedmiotów podtrzymuje podobno istnienie zakładu. Instytut św. Kazimierza na Tamce również dostarczył wyrobów tego rodzaju, chociaż w mniejszej ilości.

Szczególną uwagę zwracają wyroby warsztatów rzemieślniczych (szkoły) przy ul. Śliskiej (p. Zofii Bornsteinowej). Nauka praktyczna rozpada się tam na dwa oddziały: wyroby galanteryjne i koszykarskie. Z obu znaleźliśmy bardzo dużo okazów ładnych i nawet wykwintnych, które pono w handlu uchodzą za paryskie i dlatego są chętnie kupowane.

Szkoła rękodzielnicza dla kobiet p. Mączyńskiej wystawiła próby robót uczenic: szycia bielizny i ubrań damskich, wyrobów pończoszniczych, włóczkowych, próby haftu i znaczenia, wreszcie sztuki stosowanej.

Szkoła rzemiosł p. Jadwigi Przewóskiej dała także okazy prac uczenic. Przy zakładzie tym istnieje pracownia sukien, okryć, kapeluszy, tudzież modeli i fasonów z bibułki.

P. Aniela Hoene, przełożona szkoły żeńskiej VI-klasowej, wykazała praktyczną

stronę nauki. Są tam we wszystkich klasach prowadzone roboty ręczne, oraz sztuka stosowana do przemysłu. Można więc znaleźć wszystko: haft, szycie, malowanie na atlasie i drzewie, bieliznę, roboty na drutach (chustki wełniano, kapy, spodniczki ciepłe), roboty szydełkowe.

Wyroby rękodzielniczek pojedynczych rozproszyły się po całej wystawie. Widzimy tam pościel, sukienki, ubrania dziecięce, koszulki wioślarskie i cyklistowskie itd., obrusy, serwety, bieliznę, bluzki, suknie gotowe itd. Jedna pracownia (p. Stokowskiej) wystawiła abażury jedwabne i batystowe, nawiasem mówiąc, bardzo drogie.

Produkcya kwiatów sztucznych wzięła stosunkowo niewielki udział. Między innemi na uwagę zasługują prawdziwie piękne wyroby p. W. Siwińskiej.

Garść tych szczegółów pobieżnych chyba wystarczy, ażeby dać pojęcie, jakiego rodzaju produkcya kobieca zapełniła wystawę. W znacznej większości nie jest to praca kobiet wykwalifikowanych i samodzielnie zarobkujących, lecz robota uczennic różnych szkół malarskich i rękodzielniczych. To za mało do charakterystyki wytwórczości niewieściej we wszystkich działach. Trochę okazów doryweczych, bezładnie umieszczonych z zakresu krawieczczyzny, nie daje najmniejszego pojęcia o tej dziedzinie pracy w Warszawie. O prowincyi, jak rzekliśmy w artykule poprzednim, również nie mamy żadnego pojęcia, bo chociaż naliczyliśmy kilka eksponentek (z Tomaszowa gub. Piotrkowskiej, z Tomaszowa Rawskiego, ze Stryjny gub. Lubelskiej, z Kluczkowic gub. Lubelskiej, ze Smardzewa gub. Kaliskiej, z Sielec gub. Piotrkowskiej, z Kalisza, Woli Prażmowskiej gub. Warsz., z osady „Czechy" gub. Siedleckiej), wyglądają one tak, jak gdyby zaplątały się na wystawie przypadkowo. Wykazały także robotę przeważnie amatorską, przedmioty zbytku. Z zakresu rzemiosł — niewiele. Tylko p. Irena Ryx z Woli Prażmowskiej wystawiła warsztat pokojowy do wyrobu dywanów, a p. Kleniewska z Kluczkowic pokazała wyroby szkoły wiejskiej i te jedynie zasługują na uwagę. Są tam różne tkaniny wełniane, płótna, bielizna, tudzież środki, służące do produkcyi, jak warsztaty ręczne do tkania dywanów i taśm. Nie możemy przy sposobności pominąć szczegółu charakterystycznego, że wzory do tkanin sprowadzane są ze Szwecyi.

Przedstawicielem produkcyi wiejskiej rękodzielniczej ma być także Muzeum etnograficzne warszawskie. Jest to również wystawca przypadkowy, którego okazy przekraczają granice Królestwa Polskiego, jak np. *łapcie* (rodzaj obuwia, plecionego z „łyka" — kory z młodych gałęzi lipowych), które są wyrabiane przez chłopów litewskich i połoskich.

Tak jest reprezentowana Warszawa i prowincya! Gdyby kto chciał po za firmami i okazami dowiedzieć się czegoś więcej o wytwórczości i jej warunkach, zawiódłby się srodze. Na kilkaset wystawczyń rzadko można spotkać dwie lub trzy — obecne przypadkowo — które udzieliłyby wskazówek (niezbyt dokładnych). Jesteśmy więc na tym popisie, jak przed oknami sklepów.

Wystawa, jako przeważnie damska, nasuwa nam jeszcze jedną uwagę. Znajdujemy tam takie firmy *warszawskie*: *Amélie*, *M-me Sophie*, *M-me Anna*, *M-lle de Moysard* itd. Śmieszne to jest na pozór, a może nawet gorzej niż śmieszne. Ale czyż można bezwzględnie potępiać przedstawicielki tych firm i natrząsać się nad niemi? Wniknąwszy głębiej w pobudki, przeciwnie— trzeba tylko podziwiać ich spryt, że tak powiem psychologiczno-kupiecki. Znają one wybornie swoją klientelę, którą łatwo zjednać nietylko tem, że się uczyło w Paryżu, lub ogłoszeniem, że się tam jeździło po modele, lecz także firmą, napisaną po francusku. Brak nam dobrych humorystów i satyryków, ale nie brak materyału do humoru i satyry.

Przy sposobności nasuwa mi się pytanie: Co robi i gdzie przebywa Delegacya stała pracy kobiet, która tak świetnie i szeroko nakreśliła swe zadania? Wszakże celem jej było wogóle popieranie pracy, czyli uświadamianie warunków bytu kobiet w Warszawie i całym kraju, pośredniczenie w wyszukiwaniu zarobków i rynków zbytu. Kilka lat już upłynęło od chwili jej powstania. Przez ten czas powinna była ona nagromadzić sporo materyału cennego o warunkach pracy kobiet, o współzawodnictwie na rynkach, o możliwem powodzeniu tej lub innej gałęzi pracy wytwórczej, o tem, jakie pola należy uprawiać usilnie, a z jakich wycofać się przezornie. O tem wszystkiem nic dotąd nie wiemy. Nie czytałem nigdzie nekrologów tej Delegacyi, jako działaczki publicznej; a więc przypuszczam, że żyje. Dlaczegóż swego życia nie ujawniła na wystawie? Wszak powinna być jej duszą! Gdyby była organem żywotnym, gdyby działała według pięknie nakreślonego programu, to przedewszystkiem owoce swej pracy kilkoletniej ujawniłaby na wystawie obecnej. A wtedy nie mielibyśmy popisu przeważnie robót damskich, lecz obraz pracy zarobkowej kobiet naszych, z wykazaniem nietylko jej płodów, lecz i warunków wytwórczości.

Zen. Piet.

W DALI.

Płock. Podczas pobytu w Płocku General-Gubernatora warszawskiego (dnia 24 czerwca) przedstawiciele szlachty całej gubernii złożyli podanie, w którem tak sformułowali swoje potrzeby: 1) ażeby w celu zmniejszenia ilości spraw serwitutowych i prędszego załatwienia władze administracyjne więcej wtajemniczały się w działalność osób, które, wyzyskując włościan, zajmują się pisaniem nieuzasadnionych w tym przedmiocie skarg; 2) interesowani uprasząją o wybudowanie szos i wogóle o ulepszenie komunikacyi, gdyż drogi są w opłakanym stanie; 3) ażeby ściśle stosowano Najwyższy Ukaz z dnia 19 lutego 1864 roku w kwestyi przepisów, dotyczących zarządu gminnego, pełnomocników gminnych, oraz szkół początkowych. W sprawie powyższej obecnie p. gubernator polecił naczelnikom powiatów zebrać jaknajszczegółowsze wiadomości od tych właścicieli ziemskich, którzy podali prośbę co do trzech wyżej przytoczonych punktów, mianowicie: 1) jakie według ich widzenia środki należy przedsiębrać w celu ukrócenia działalności pokątnych doradców co do pisania próśb, dotyczących serwitutów włościańskich; 2) jakie drogi poprawić i jakie szosy wybudować, oraz jakie na to mogą wskazać środki i 3) co mianowicie wbrew przepisom Najwyższego Ukazu z dnia 19 lutego 1864 roku czyni się w kwestyi urządzeń i pełnomocników gminnych, oraz szkół początkowych. Dotychczas obywatele ziemscy nie sformułowali swych odpowiedzi na powyższe pytania.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. W osadzie Tarnogóra pow. Krasnostawskim, otwarto pierwszą w gub. Lubelskiej rosyjsko-polską bibliotekę ludową przy tamtejszej szkole elementarnej. Zaopatrzono ją w 201 tomów książek religijnych, popularno-naukowych, beletrystycznych oraz z dziedziny hygieny i gospodarstwa wiejskiego. Zarząd biblioteki powierzono kierownikowi szkoły miejscowej, dozór nad nią zaś komisarzowi do spraw włościańskich. W okręgu dyrekcyi naukowej chełmskiej istniało dotąd 12 bibliotek ludowych rosyjskich.

— Zarządy cechowe w Rosyi otrzymały polecenie dopilnowania, ażeby rzemieślnicy Żydzi nie zajmowali się rzemiosłami w miejscowościach po za linią osiedlenia żydowskiego, o ile nie posiadają wymaganych ku temu dowodów.

Szkoły. Według cyrkularza okręgu naukowego charkowskiego, ograniczenia procentowe Żydów w szkołach wcale nie dotyczą gimnazyów żeńskich.

— Do wszystkich szkół rolniczych pod zarządem ministeryum dóbr państwa przyjęto w r. b. praktykantów bezpłatnie.

Zdrowie publiczne. W Bukareszcie, z powodu epidemii tyfusu, zamknięto szkoły i pensyonaty.

— Ustawę warszawskiego Towarzystwa hygienicznego, przyjętą przychylnie przez Generał-Gubernatora, przesłano do zatwierdzenia ministeryum spraw wewnętrznych.

— W petersburskiem Towarzystwie lekarskiem roztrząsana będzie sprawa stworzenia ministeryum zdrowia publicznego.

— Ministeryum komunikacyj postanowiło zbudować szpitale kolejowe w Petersburgu, Moskwie, Warszawie, Kijowie i Brześciu.

Dobroczynność. Władza pozwoliła na rozmieszczenie puszek w miejscach publicznych do zbierania ofiar na rzecz pogotowia ratunkowego w Warszawie.

Koleje i komunikacye. W tych dniach otwarta będzie do użytku publicznego kolej żelazna Archangielsko-Wołogodzka.

— W Piotrkowie inżenier p. M. Lutosławski czynił próby telefonowania po drutach telegraficznych pomiędzy Piotrkowem a Łodzią (63 wiorsty). Próby były podobno pomyślne.

— Na Dnieprze skutkiem raptownych mrozów ustała żegluga d. 9 b. m.

Wystawy i zjazdy. Z powodu licznych skarg na wyroki komisyj ekspertów wystawy kijowskiej, rozdawanie nagród wstrzymano z rozporządzenia władzy wyższej. Skargi przesłano do departamentu handlu i przemysłu.

— Towarzystwo ogrodnicze w Odesie otrzymało pozwolenie władzy na urządzenie w r. p. wystawy (owoce, wina, warzywa itd.). Jednocześnie odbędzie się zjazd owocarzy z Rosyi południowej.

— W Charkowie zjazd przemysłowców górniczych obradował nad sprawą eksploatacyi i wywozu węgla kamiennego w zagłębiu donieckiem. Produkcyę ustanowiono na 390 milionów pudów. Na rynki handlowe przeznaczono 300 milionów, tj. o 47 mil. więcej, niż w r. z.

Przemysł i handel. Zatwierdzone zostało Towarzystwo akcyjne pod nazwą „Chmiel" do wyrobu piwa. Założycielami są: A. Hoch, I. Broniewski, J. Rzętkowski, Cz. Boczkowski i W. Rawicz. Kapitał zakładowy pół miliona rubli.

— Wielu kasom rządowym postanowiono zmniejszyć dokonywanie wypłat w banknotach 5 i 10-rublowych, celem szybszego utrwalenia śród ludności obiegu monet srebrnych i złotych.

— W Towarzystwie popierania przemysłu i handlu rozpoczęły się obrady w sprawie uregulowania dnia roboczego.

— Ministeryum skarbu poleciło wybić w mennicy petersburskiej monety miedzianej na 1,200,000 rs.

— Od pewnego czasu akcye sosnowickiego Tow. kopalń węgla, obracane wyłącznie prawie w Paryżu i Lyonie, są przedmiotem znacznych wahań kursowych. Za akcye 500-frankowe płacą 1,100—1,300 fr. Zwyżkę ostatnich dni przypisują wyższym cenom węgla, a jeszcze więcej pogłosce o zamianie Sosnowic na miasto, gdyż w tym wypadku grunty Towarzystwa zyskałyby wiele na wartości. Różnica w cenie wynosiłaby 2,500,000 rs. (*Gaz. Losowań*).

— D. 16 b. m. minister skarbu zatwierdził ustawę Tow. wzajemnego kredytu we Włocławku. Inicyatorami są pp.: Wł. Nowca, L. Bauer, L. Bojańczyk, J. Lewiński, H. Neuman i G. Peretz.

Odpowiedzi Redakcyi.

P. Myśl wiersza Pańskiego ani nas nie odpycha, ani nie przyciąga, gdyż nie mogliśmy jej wyczytać w szeregu przeczuć.

M. A. Niestety, najmniejszego śladu talentu w wierszach Pańskich nie znaleźliśmy.

Panu Józefowi B. w Petersburgu. List Pański odesłaliśmy do *Gazety Sądowej*, której redakcya odpowie Panu wyczerpująco.

Panu M. Sl. Co to ma być?

Jednemu z członków. Naprzód zażalenie Pańskie jest bezimienne (a bezimienne korespondencye redakcya traktuje tak: ty panie nam nie ufasz, dlaczego my tobie mamy ufać?); powtóre załączona do listu kartka z kalendarzyka w. r. nic zawiera niczego, przeciw czemu protestować by należało.

Pani Konstancyi z Kalisza. Czy jakaś fabryka przyjęłaby kobietę-chemiczkę — nie wiemy, wiemy tylko, że dotychczas u nas kobiety na tych stanowiskach nie pracują.

Panu Skw. w Klimesie. Książki tej w warszawskich księgarniach niema.

S. Ch. W artykule Pańskim jest właściwie wypowiedziana tylko jedna myśl, zresztą znana, która mu nadaje wartość naukowej notatki, dla nas nieprzydatnej.

Prenumeratorce. Jak uczy stara bajka, biedny młynarz nie mógł przejść drogą z synem i osłem bez narażenia się na zarzuty, cóż dopiero mówić o dogodzeniu wszystkim w sprawie trudniejszej — w wychowaniu dziecka! Niech Pani wszakże baczy na dobre skutki, a nie na czcze gadaniny. Mapy wyślemy.

Panu S. J. w. Por. O przekładzie polskim tej powieści Garborga nie słyszeliśmy.

SPROSTOWANIE. W nr. 43 *Prawdy* w wierszu „Śpiewacy" zamiast: Złotą falą, powino być: Złotą falę: zam. Dla królowej mej — Dla królewny mej; zam. My śpiewamy dwaj — My śpiewacy dwaj; zam. Każdy z nas mógł mieć — ...mógł nieść; zam. My śpiewamy, my lirnicy — My śpiewacy itd.

Kazimierz Piotrowski.

21-letni student filozofii uniwersytetu berlińskiego, który zginął d. 11 października podczas wycieczki w góry pod Zakopanem, był jednym z najczystszych charakterów i najzdolniejszych umysłów wśród dorastającego pokolenia młodzieży. Uczniem będąc w Radomiu, całe dnie wolne spędzał na długich przechadzkach po polach i lasach, z zapałem studyował naturę, stykając się z nią bezpośrednio, a umysł swój wznieść umiał bardzo wcześnie do uogólnień filozoficznych i przykazań etyczno-społecznych. Samodzielność, szczerość, sumienność umysłowa, odwaga cywilna, poczucie obowiązku solidarności i pracy dla innych cechowały każdy jego postępek. Od roku 1894 bawiąc za granicą, studyował nauki przyrodnicze, rokując wiedzy wielkie nadzieje. I padł niespodzianie w nierównej walce z niewzruszonym bezmiarem górskiej nocy i chłodu, z przyrodą, z którą od dzieciństwa sam na sam lubił przestawać...

Koledzy nie pozwolą zaginąć jego czystej pamięci!

Starszy kolega.

*Za pośrednictwem Administracyi naszej czytelnicy **Prawdy** nabywać mogą po rs. 3 z przesyłką rekomendowaną rs. 3 kop. 45 dzieło*

Piotra Chmielowskiego
KOBIETY
Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego

O ile samo nazwisko najznakomitszego badacza historyi literatury polskiej poręcza gruntowność tej książki, o tyle cztery wydania świadczą o jej popularności. Obecna edycya wytworna, opatrzona wielema pięknemi ilustracyami, wypuszczona została na dochód autora w roku jubileuszowym jego wysoce zasłużonej i owocnej pracy.

OGŁOSZENIA.

Najwierniejszy portret
ADAMA MICKIEWICZA
w dwóch odmianach: popiersie i pół figury,
wedle dagierotypu paryskiego z 1842 r. rysował
Leopold Horowitz.

Do nabycia we wszystkich księgarniach i w administracyi „Prawdy."

Cena za egzemplarz na papierze welinowym **kop. 25**, na papierze kredowym **kop. 40**, za przesyłkę **kop. 10**.

Do nabycia w Administracyi „Prawdy":

ENCYKLOPEDYA DLA DZIECI
(ilustrowana).
Cena zniżona: rs. 1 kop. 50, z przesyłką pocztową rs. 1 k. 65. Egzemplarze oprawne o 20 k. drożej.

ŚPIEWNIK DLA DZIECI
z tekstem M. Konopnickiej muzyką Z. Noskowskiego.
Wydanie ozdobne, z rysunkami Władysława Podkowińskiego, zawiera 50 piosnek z towarzyszeniem fortepianu i tekst oddzielny.
Cena rs. 2 k. 50, z przesyłką rs. 2 k. 70.

Wyszła z druku i jest do nabycia w redakcyi *Prawdy* książka
ZENONA PIETKIEWICZA
p. t.
SZKICE SPOŁECZNE.
(I. Nędza i miłosierdzie. II. Hygiena i życie. III. Kobieta. IV. Samobójstwo). Str. 263.
Cena rs. 1 kop. 20, z przesyłką rekomendowaną rs. 1 kop. 40

Spółka Nakładowa

Brandes Jerzy. Główne prądy literatury europejskiej XIX w., tom V. Szkoła romantyczna we Francyi, z portretem autora, str. 402 — rs. 1.50.

Chmielowski Piotr dr. Autorki polskie w. XIX, studyum literacko-obyczajowe, ozdobione sześciu portretami, str. 541 — rs. 2.

Gumplowicz L. System socyologii — rs. 3 kop. 30.

Heine Henryk. Wybór pism, t. I, w przekładzie Maryi Konopnickiej, Józefa Kościelskiego, Aleksandra Kraushara i in. Wydanie ozdobne, z portretem autora, str. 298 — kop. 60.

— Wybór pism, t. II. Podróż do Harcu, Włochy, w przekładzie M. Gawalewicza, C. Jelenty i Maryi Konopnickiej, str. XIII i 328 — rs. 1.

A. Ckolski. Ustrój państw europejskich i Stanów Zjednoczonych Ameryki — rs. 3.

Smoleński Władysław. Drobna szlachta w Królestwie Polsk., [illegible] ne, str. 66 — kop. 60.

— Przewrót umysłowy w Polsce wieku XVIII, studya historyczne, 8-o, str. 424 i VI — rs. 2 kop. 50.

Spencer Herbert. Zasady etyki, z 3-go wydania oryginału angielskiego przel. Jan Karłowicz, str. 310 — rs. 2.

Prus Bolesław (Aleksander Głowacki). Szkice i obrazki, tomow cztery, z portretem autora — rs. 5, w ozdobnej oprawie rs. 6 kop. 20.

Światełko, książka dla dzieci, napisana zbiorowo przez grono autorów polskich. W ozdobnej oprawie, z drzeworytami w tekście, str. 274 — rs. 1.

Na koszta przesyłki do każdego rubla należy dołączyć kop. 15.

Biuro i ekspedycya Spółki Nakładowej: Warszawa, Nowogrodzka 39.

Bezpłatny dodatek „Prawdy"
Zasady Fizyologii
Huxleya—Rosenthala,
wyszedł w osobnej książce i jest do nabycia za cenę rs. 2, z przesyłką pocztową rs. 2 kop. 15.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 7 Ноября 1897 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa ul. Mazowiecka, Nr. 8.